

dni później, okazała sumka została przesłaną szczęśliwej matce.

Jeżeli ludność wzrasta powoli we Francji, za to podatki i ciężary zwiększają się tam bardzo szybko. W r. 1801 dług narodowy wynosił 725,000,000 fr., dziś doszedł do 31,100,000,000. W Wielkiej Brytanii przeciwnie, dług narodowy, z 13,350,000,000 w r. 1801, wzrósł przez ubiegłe stulecie tylko o trzy miliony niespełna.

Ekonomista Juliusz Roche wykazał przyczyny złego: we Francji izba poselska ma prawo szafowania groszem publicznym, kiedy w Anglii pozostawiono ten przywilej koronie. Każdy poseł francuzki, chcąc zyskać łaski wyborców, stara się pozyskać dla nich różne korzyści z uszczerbkiem budżetu. Prywata góruje nad dobrem kraju.

Plaga Francji jest także biurokracizmem. Każdy pełnoletni Francuz, posiadający świadectwo szczonej ospy i dyplom bakałarza, zanim jeszcze wyjdzie z pod skrzydeł *Alma mater*, marzy o jakim urzędzie, który dałby mu byt spokojny i uwolnił od myślenia o przyszłości. Państwo obowiązane jest żywić wszystkich. Posłowie starają się o posady dla swoich protegowanych, a w braku stwarzają nowe, np. inspektora pomników Sahary, albo naczelnika świeżego powietrza.

W Anglii jest inaczej, tam każdy walczy o byt i zdobywa sobie stanowisko; na urzędnika idzie tylko człowiek, któremu natura odmówiła wyższych zdolności, energii i ducha przedsiębiorczego. Wobec tego nie można się dziwić, że Anglicy wypierają zewsząd swoich sąsiadów z za Kanalu, że owdąnęli handlem i przemysłem. Francuz, zamiast współzawodniczyć z nimi, broni się za pomocą wysokich ceł ochronnych, ale i to niewiele pomaga.

Niech się pocieszy tem, że i Anglia ma groźnego rywala, który rozporządza znacznymi kapitałami, posiada cierpliwość, wytrwałość i energię ras silnych; tym rywalem są Niemcy. Nietylko na rynku wszechświatowym wystąpiły one do współzawodnictwa, ale w samej W. Brytanii przemysł niemiecki zagarnia coraz więcej pola dla siebie. P. Williams, autor słynnej książki *Made in Germany* (Zrobione w Niemczech) wrócił uwagę ziomków na niebezpieczeństwo. Począwszy od banków, a skończywszy na butach i kapeluszach, wszystko jest niemieckie. To istny najazd Germanów, tem groźniejszy, że dokonują się pociuch i nieznacznie.

Każdy prawowierny Anglik żżyma się zobaczywszy na przedmiocie nabytym w Londynie słowa „*Made in Germany*“. Prawdziwe przerażenie zapanowało w kraju, kiedy w innej książce p. Williams wykazał, że wywóz towarów z Anglii w ciągu ostatnich dwóch lat zmniejszył się o 500 milionów, przywóz zaś wzrasta w stosunku zastraszającym.

John Bull nie zwykł jednak marnować słów i czasu, niezwłocznie więc zabrał się do czynu. Rząd wysłał agentów do Azji i Afryki, aby wyrobić nowe rynki zbytu dla swego przemysłu i ogłosił sprawozdania konsulów, którzy wytykają negocyantom angielskim błędy i usterki, wpływające na upadek handlu.

Anglia nie ustąpi bez walki i w poczuciu własnej potęgi drwi sobie zarówno z gniewu cesarza Wilhelma, jak z pogródek francuzkich.

Spór rozstrzygnie się w XX wieku. Jedno z dwojga: albo Anglia będzie musiała wyrzec się przewodniego miejsca, albo też zwycięży współzawodników i będzie tak samo królowała na polu handlu i przemysłu, jak obecnie króluje na morzu.

A - S

LOS ZBIORÓW

BIBLIOTEK PRYWATNYCH.

Poruszona w roku ubiegłym oraz obecnym w „Biesiadzie“ a przyjęta życzliwie przez ogół myśl utworzenia towarzystwa opieki nad starożytnościami krajowymi i wszelkimi zabytkami przeszłości, zrodziła myśl pokrewną: zaopiekowania się losem bibliotek i zbiorów prywatnych.

Wszelkie widome ślady pracy ludzkiego ducha, wszystko co nam przekazała przeszłość, czy to w postaci instytucji, czy dzieł sztuki lub budowli publicznych, czy bibliotek, stanowią zasób społeczny, własność ogółu, z której przeszłe pokolenia korzystały, obecne korzystają a przyszłe korzystać będą.

Taką własnością powszechną, skarbem, ulegającym ciąglemu wzbogacaniu się, jest myśl ludzka i nierozłączny z nią język, przez przodków nam przekazany. Powiernicą myśli i języka, jak się wyraża nasz głęboki myśliciel Supiński, jest księga, w której, jak w zwierciadle, nietylko odbija się duch czasu, lecz która zarazem daje świadectwo, jak się ten język rozwijał, jakie przechodził koleje i jakim ulegał wpływom.

Nie też dziwnego, że od najdawniejszych czasów, a właściwie od chwili, w której prawdziwa cywilizacja urabiać się zaczęła, ludzkość umiała cenić rękopisy, zbiory i księgi, jako dowody swej umysłowej kultury i opiekowała się bibliotekami. Dział biblioteki stały się potężnymi dźwigniami oświaty, mając zapewnione środki dla swego rozwoju i bezustannego uzupełniania.

Jeśli jednak biblioteki publiczne, lub na stałe fundacyi oparte, nie potrzebują się troskać o jutro, to o zbiorach i bibliotekach ludzi prywatnych, nawet bardzo zamożnych, nie można tego powiedzieć. W największej liczbie przypadków, ze śmiercią właściciela biblioteka jego idzie w rozsypek, i jeśli nie wędruje na strych, aby się stać pastwą myszy lub zbutwieć, służy domownikom do rozmaitych użytków, w najlepszym razie sprzedaje się na funty handlarzom książkowego towaru za marną cenę.

Czyż to mało jest ludzi, którzy całe życie zabiegają, nie raz od ust sobie odejmują, aby zdobyć do kompletu to lub owo dzieło, nabyć na własność jakąś rzadką książkę, jakiegoś białego kruka? Nie myślimy tu o zapalnych zbieraczach, chwytających wszystko, co się znajdzie pod ręką, aby tylko swe zbiory ilościowo zwiększyć, lub o tych maniakach (choć zbieranie książek to słabość szlachetna), chcących mieć dużo książek w pięknej oprawie, lecz nie znających się na ich wartości bibliograficznej; mówimy wyłącznie o bibliofilach, którzy z pewnym planem gromadzą swe zbiory lub księgi, w jakimś specjalnym kierunku. Zbiory tą drogą powstałe są często niezmiernie cenne, mają wartość, nie dającą się na pieniądze oszacować i dla nauki częstokroć mogą mieć daleko większe znaczenie, niż biblioteki ogólne, imponujące swymi rozmiarami.

Wobec tego faktu, że znawca bibliofil często całe lata poluje, zanim odzuka i nabędzie dane dzieło, i przed żadną ceną się nie cofa, jest rzeczą zrozumiałą, dlaczego niejedna biblioteka, dziesiątki tysięcy tomów licząca, nie posiada tego, co się nieraz w księgozbiore o kilku szafach znajduje. Tacy znawcy godni są najwyższego uznania; są to niejednokrotnie męczennicy idei, której urzeczywistnienie chłodem i głodem okupują. Z lubością patrzą oni na swe zbiory, do swych ksiąg uśmiechają się, jakby do własnych dzieci, recytują historię nabycia każdej z nich i opowiadają o fortelach, jakich użyli, aby je do swych zbiorów wcielić. Nieraz machną ręką, gdy ich się kto spyta, skąd tę lub ową książkę wzięli, dając tem do zrozumienia, że to tajemnica. Takiemu zamilowanemu zbieraczowi lada oko zachodzi, gdy sobie wspomni, że kiedyś trzeba się będzie rozstać z ukochanymi przyjacielmi, co rozklasyfikowani wedle swego dostojństwa, niby ludzie, jedne zajmują specjalne półce, jakby miejsca honorowe, inne znów miejsca mniej poczesne, a inne są jako wierznie pod kluczem i tylko kiedy niekiedy sam na sam przez właściciela bywają oglądane i uwielbiane.

„Mój Boże—mówi niejedyn taki bibliofil—co się też z temi książczynami stanie po mojej śmierci? Pewno pójdą do obwijania świec lub molom na pastwę, jeśli ich na funty handlarzom nie sprzedadzą. Bo widzi pan—mówi dalej—brat mój młodszy wcale się na tem nie zna i jest mu obojętne, co się z temi książkami stanie; choć możemy go uprosić, aby się nimi zajął, ale siostra patrzy na nie nieprzyjaznym okiem, jak na wrogów, bo, jak mówi, z książek tylko masa kurzu się robi. Jakiż więc na to sposób, aby książki, w których tyle pieniędzy i ciężkiej pracy mej siedzi, od zagłady uchronić?“

Byłby sposób bardzo łatwy, gdyby istniało *Towarzystwo ochrony zbiorów i bibliotek prywatnych*, któreby nie pozwoliło, aby zbiory wartościowe uległy zatraceniu.

Czy społeczeństwo, nie przedsiębiorące w tym razie środków zaradczych, nie jest podobne do Kalifa Omara, który spalił bibliotekę aleksandryjską? Jest gorzej chyba od Omara, bo ten raz tylko dopuścił się przestępstwa, gdy tymczasem toż społeczeństwo zezwala na to, aby od czasu do czasu jakiś cenny zbiór zaginął lub wartościowa biblioteka się rozproszyła. W ostatnim dziesięcioleciu w samej Warszawie zmarowanych zostało kilka godnych opieki ogółu bibliotek, nie mówiąc już o prowincji, gdzie w sposób niespodziewany z niejednym ładnym zbiorem spotkać się można. A ile cie-

BIESIADA LITERACKA.

Tom XLVIII. No 44—1,245. Prenumerata na Biesiadę Literacką i korespondencya do Redakcyi, Chmielna 28 22 października (3 listopada) 1899.

OBRAZ A. W. KOWALSKIEGO.



NA POLESIU.

Z WARSZAWY.

„Czarna” i „pałaca” kwestya.—Spekulacya na nędzy ludzkiej.—Nieudana akcyja ratunkowa.—Nasze skromne potrzeby.—Peszta a Warszawa.—Środki lokomocyi.—Próżność.—Głos z za grobu.—Literat zagłodzony.—Schronisko dla weteranów literackich w Zielonce.—Smutne i pocieszające wieści z krajów sąsiednich.—Nabywanie ziemi w Ks. Poznańskim.—Pałacomania i stare dworki nasze.

Bardzo często chłopczyzna na pytanie: „czemby kiedyś chciał być?”—odpowiada z błogim na ustach uśmiechem: „Cukiernikiem!” Niema w tem nic dziwnego. Ot! dziecko wie, że najlepsze dla niego przysmaki przygotowują się w cukierni, więc radeby było, bez oglądania się na ojca i mamę, sięgać pełną dłonią po „ptysie” i „pomadki”.

W położeniu owego malca, wzdychającego do zawodu cukierniczego, znajduje się teraz przeważna część mieszkańców Warszawy, z tą jeno różnicą, że my nie lakniemy przysmaków, nie pragniemy zadowolnić podniebienia, a z pożądlivością wielką spoglądamy na składy, po nad którymi wznosi się deska, pomalowana na kolor niebieski, a na tej desce widnieją wypisane białemi głoskami wyrazy: „Węgle kamienne i drzewo opałowe”. Niejeden powtarza sobie w duszy: „Chciałbym w tej ziemie być sprzedawcą węgla! Mógłbym wtedy kroczyć po małym podwórku niby paw dumny, mógłbym tłoczycząc się do składu kupujących traktować z góry, mógłbym z dnia na dzień, ba! z godziny nawet na godzinę podwyższać cenę po kilka kopiejek na pudzie, a po kilkadziesiąt na korcu i śmiać się z tych wszystkich, którzy bądź wytaczają baterye papierowe na poskromienie wyzysku, bądź też, w imię uczuć humanitarnych, przemawiają za ukróceniem tej wysoce niezdrowej spekulacyi. Biedna praczka, cały dzień pałaca ogień pod kotłem, załamuje ręce z rozpaczy; ludzie o skromnych zarobkach wołają narażać siebie i dzieci na zimno lub wilgoć w mieszkaniu, ale cóż to obchodzi spekulantów?

„Czarna kwestya”, jaka teraz góruje po nad innemi w Warszawie, jest znów tylko manewrem spekulacyi—to rzecz bijąca w oczy. Był czas, gdy wciągano do gry giełdowej najdrobniejszych nawet kapitalistów, a gdy tych oskubano dostatecznie, przerzucono się na place i domy w mieście i pod miastem, teraz przyszła kolej na węgle, jutro zaś czy pojutrze zacznie się spekulowanie innemi przedmiotami, należącemi do potrzeb codziennych, niezbędnych. Co najsmutniejsze w tych wszystkich orgiach pieniężnych, to okoliczność, że zawsze ostrze spekulacyi zwrócone jest nie przeciwko ludziom zamożnym, ale godzi wprost na te warstwy społeczne, dla których strata, w ten sposób poniesiona, równa się często zupełnej ruinie.

Tych biednych właśnie chciał wziąć pod skrzydła opiekuńcze zarząd miejski, mimo jednakże zaryzykowania kilkukroćstotysięcy, akcyja ratunkowa nie wydała prawie żadnych owoców. Chcąc, aby węgiel istotnie stanął w Warszawie, potrzeba nie ośmiu, ale chyba ośmdziesięciu składów w różnych punktach miasta, a co ważniejsze, potrzeba zorganizować dostawę do domów. Wobec dzisiejszej manipulacyi, zaprowadzonej w składach miejskich o wpłynięciu na obniżenie cen węgla nie może nawet być mowy, ostatnia też chyba bieda nakłoni ludzi do biegania na krańce miasta po pud węgla, wyczekiwania godzinami na kolej swoją przy wadze i dźwigania ciężaru na przestrzeni wiorst kilku. Zarząd miasta najniewątpliwej dobre miał chęci, ale niestety! często bardzo dobre chęci szkodę przynoszą, zamiast pożytku; przynajmniej dzisiaj wielu, że akcyja ratunkowa w tym wypadku stała się w znacznej mierze przyczyną klęski. Składnicy, którzy przychłili z początku, teraz tem śmielej podnoszą głowę do góry,

drwią sobie po prostu z biedaków, wyszrubowują ceny do niemożliwości. Na czem się zaś to zakończy?

Jak mało potrzeba nam do zadowolenia, świeży tego dowód mamy w obliczeniach, dokonanych przez pisma codzienne. Z tych obliczeń wypadło, że gdy Peszt, nie mogący się mierzyć z Warszawą, posiada 900 wagonów tramwajowych, u nas tabor cały składa się ze 150; w Peszcie liczba omnibusów, kursujących ustawicznie po mieście, dochodzi do tysiąca, my zaledwie mamy ich setkę. To też w Dzień Zaduszny przebojem zdobywać sobie trzeba bodaj stojące miejsce w tramwaju; kobiety mdleją lub narażone są na ciągłe popychania i całą, długą drogę stać muszą na platformie. Czy to niedbalstwo, czy brak przedsięwzięczości z naszej strony—nie wiem, ale to wiem, że taka lokomacyja nie przystała wcale miastu, które z wielu względów zasługuje na nazwę „wielkiego”.

Już to komfort i wygoda w dziwnej są u nas z sobą sprzeczności. Obok pięknych powozów z t. zw. remiz, obok dorożek „na gumach”, pędzących przez Aleje Ujazdowskie na „corso”, wlecze się często klekocący omnibus, którego wygląd zdaleka odstrasza od użycia przyjemności przejażdżki, w całym zaś mieście niema obecnie „ani jednej” dorożki krytej zupełnie, t. j. karetki, jakie na każdym kroku spotkać można w każdym większym ognisku zagranicą. Dla słabowitych, kobiet i dzieci dogodność byłaby to wielka, sporo znalazłoby się amatorów po każdym przedstawieniu teatralnym, po koncertach, wieczorach publicznych i rautach, kiedy to z ogranej sali wychodzi się na zimne powietrze. Dlaczego nikt nie pomyśli o tem?

Dlaczego? Na zapytanie moje w tej mierze odparł mi jeden z najpoważniejszych właścicieli remiz, że karetki nigdy nie mogłyby się zaaklimatyzować w Warszawie, bo warszawiak lubi, ażeby go podziwiano w dorożce. Złośliwa to uwaga, a jednak na dnie tej złośliwości mieści się dobra szczypta prawdy. Próżność wielką jest wadą naszą.

Na tych ludzi próżnych, bezdusznych, a pragnących tylko użycia, choćby w pogoni za dostatkami przyszło podeptać bliźnich, chleb im odebrać, skarży się w przedśmiertnej spowiedzi swojej ś. p. Teofil Szumski, przed laty kilkunastu jeszcze ceniony powieściopisarz, poeta i dziennikarz.

Dla niego i dla rodziny zabrakło chleba... Straszne to widowisko, gdy na bruku lwowskim literat, nietuzinkowy bynajmniej, umierać musi z głodu.

Dreszcz przechodzi po ciebie, gdy się pomyśli o tak smutnym końcu literata polskiego. Niechajże też balsamem na tę ranę bolesną będzie wiadomość, że warszawska młoda kasa nie pozwoliłaby na taką poniewierkę zasłużonych pisarzy, a w każdym razie dałaby im dach nad głowę w Zielonce. Willa jest już gotowa dla przyjęcia steranych pracą mieszkańców. Troskliwy zarząd sam zaproponuje weteranom literatom gościnę w Zielonce, nie czekając na podania w tej mierze, podania, od których powstrzymuje wstyd lub ambicja, bardzo zrozumiała i na wyrozumienie zasługująca.

O ile z ziemi galicyjskiej smutne dochodzą nas wieści, o tyle pewne wynagrodzenie dają nowiny z ziemi wielkopolskiej. Nie słyhać już o niesnaskach pomiędzy stronnicami, niesnaskach, których echo odbzmiewało i u nas; nie czytaliśmy również w pismach tamtejszych o nowych ubytkach ziemi, a natomiast dowiedzieliśmy się, że piękny szmat dobrej gleby przeszedł w ręce wielkopolanina. Rzecz pewna, że jedna jaskółka nie stanowi wiosny, gdyby też tylko wzamian za tyle ziemi zaprzepaszczonej odkupiono jakiś mały folwarczek, nie wspominalbym o tem wcale. Przekonywam się jednak, że hr. Grudziński odkupił dobra, które oddawna były w ręku niemieckim, że d-r Tadeusz Nostic-Jackowski, syn czcigodnego patrona Kólek rolniczych, stał się właścicielem Wręcyna, że hr. Potulicki nabył od banku niemieckiego wspańiale Kruszewo o dziesięciu tysiącach morgów, że Józef Ko-

ścielski w Miłosławiu założył wielką fabrykę cygar, w której znajdzie zarobek 2,000 osób, przeważnie kobiet z polskiej ludności. Takich faktów nie można przeczołgać.

Zadowolenie, jakiego doznałem, wyczytawszy te nowiny w pismach poznańskich, spotęgowało się jeszcze, gdy z ust jednego z obznajmionych gruntownie ze stosunkami miejscowemi kolegów dowiedziałem się, że bardzo wielu włościan w ostatnich czasach wykupuje nawet większe posiadłości ziemskie.

— Czy jednakże prąd taki jest zdrowy i czy ci ludzie zdolają się utrzymać na zagonie?—zapytałem, na co szanowny kolega odparł:

— O to można być zupełnie spokojnym. Włościanin wielkopolski przedewszystkiem dbać będzie o ziemię, nie wymaga też dla siebie tych wygod, jakie są przywilejem wyższych sfer towarzyskich. Gdyby np. nie pałace wspaniałe, na które rujnowano się w Poznańskim, to może nie byłoby dziś tak wielkiego ubytku ziemi. Mniej dbano o kulturę gleby, o wzorowe owczarnie, o bydło, trzodę, o gospodarstwo kobiece, aniżeli o apartamenty piękne, parki angielskie, wieżyczki, sale balowe—i to zgubiło wielu, bardzo wielu. Co do mnie—ciągnął dalej kolega—to nawet taki pałac w Gołuchowie, restaurowanym ogromnym nakładem, chociaż bez uszczerbku dla magnackiej fortuny ś. p. hr. Działyńskiej, uważam za zbytek, zgola niestosowny w zubożałym Księztwie. W tym wypadku rozumię jak chłop: wolę widzieć mniej pałaców, więcej cichych, skromnych dworców, byle tylko do tych dworców przylegało dużo, dużo pól doskonale uprawnych, łąk wybornie utrzymanych, jezior, młynów, cegielni, gorzelnii i t. p.

Trudno nie zgodzić się z tym poglądem, dziwić się też trzeba tej pałacomani, jaka opanowała ziemian poznańskich. Alboż to złe były te dwory przestronne, których dziedzice nie na ustach tylko, ale w sercu mieli owo starodawne: „Gość w dom, Bóg w dom“? Alboż w tych dworcach nie chwano Stwórcy, nie przechowywano cnót rodzinnych, nie bawiono się równie ochoczo, jeżeli nie weselej jeszcze, niż w tych pałacach „sterczących dumnie“, a owianych pustką?

Miał rację kolega, gdy mówił: „kupujcie więcej ziemi, a budujcie mniej pałaców“, ze swej zaś strony wyrażam życzenie, aby jaknajczęściej dochodziły nas tak pocieszające nowiny, jak owo zakupienie trzech dużych majątków.

W. 5.

A. hr. Wodziński.

Henrykowi Sienkiewiczowi.

WNUCZKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Taki krzak często rośnie w cieniu dębu.

Czwartek.

W moim dzienniku będą jednak przerwy. Zaczęłam go z mocnem postanowieniem spisywania wszystkich moich wrażeń, a tymczasem nie jestem szczerą. Byłabym zabazgrała kilka kart, gdyby nie to, że mi brakowało odwagi wypowiedzieć się ze wszystkiego, co myślę i czuję. Przypomina mi się zdanie La Bruyère'a: „Chcieć o kim zapomnieć, to znaczy

myśleć o nim“. Dlaczego zbyłam krótką wzmianką odwiedziły naszego sąsiada? Dlaczego każde jego słowo wyrzuciło się w mojej pamięci? Dlaczego byłam drań bardzo chłodna i mówila takie rzeczy, które musiały sprawić mi przykrość? Skąd się wzięła w mnie taka złośliwość i upór?

Jestem bardzo nie zadowolona z siebie i staram się wynaleźć w panu Gordyanie jaką wadę. Widzę ciągle smutne jego oczy, poważny uśmiech, ruchy pełne godności i wma-wiam w siebie, że jest przesadzony. Niepotrzebnie także wspomina z naciskiem o swoich latach, jak gdyby pragnął się postarzyć. Nienawidzę przesady, ale chociaż chciałabym przypiąć mu jaką latkę, muszę przyznać, że jego obejście i rozmowa tchnęły dobrocią i naturalnością, a ja właśnie byłam przesadzoną. Czyż to się nie godziło po wszystkim, co między nami zaszło, wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć jakie ciepłe słówko? Tymczasem, kiedy babunia przedstawiła mi go, mówiąc serdecznie: „Podziękuj swemu zbawcy, Liliano, i odnow z nim znajomość“, ja wstałam niezgrabnie, kiwnęłam mu głową i rzekłam jednostajnym głosem, jak dziewczynka, wydająca lekękę:

— Dziękuję panu.

Uklonił się i odpiął mi tą samą zdawkową monetą:

— Jakże się cieszę, że pani tak dobrze wygląda.

Powiedziawszy to, nie zwrócił już na mnie uwagi, lecz rozmawiał z babunią i panią Reut. Musiano wspominać często o księciu Pawle, gdyż Różia słuchała pilnie, patrząc na mnie ukradkiem.

— Jakże ci się podoba pan Gordyan?—zapytała po cichu.

— Tak sobie—odrzekłam, ruszając ramionami.

Ta obojętność była udana. Oto rysopis naszego sąsiada: wysoki i smukły, ma wielkie piwne oczy, zadumane i tęskne, czarne brwi, ciemne włosy, szlachetne czoło, nos kształtny. Wąsy i broda są ciemniejsze, niż włosy. Rzadko się uśmiecha, ale wówczas oblicze jego rozjaśnia się, jak gdyby padł na nie promień słońca.

Siedział przy mnie podczas obiadu, ale dopiero przy końcu raczył sobie przypomnieć o mojem istnieniu.

— Czy pani lubi jeździć konno?

— Szalenie!

— W takim razie będzie pani miała godnego towarzysza w księciu Pawle. Jest on znakomitym i nie zmordowanym jeźdźcem. Pokaże pani nasz kraj.

— Czyż jest co do widzenia w waszym kraju?

Wszyscy zwrócili na mnie pełne zgrozy spojrzenie.

— Jakto, wasz? Przecież to jest także twój kraj, panno Liliano.

— Moje drogie dziecię—odezwała się babunia—nie zapominaj, ile jesteś winna panu Stefanowi. Prosiłam przedtem księdza Nowaka, aby cię uczył, ale może to dla niego byłoby zbyt uciążliwe. Nasz sąsiad i przyjaciel będzie znakomitym profesorem; jestem pewna, że przez samą wdzięczność będziesz pilną i posłuszną uczennicą.

Zarumieniłam się i chciałam się sprzeciwić temu, ale przypomniałam sobie dzisiejsze słowa babuni w kaplicy i nie miałam serca sprawić jej przykrości.

Wstaliśmy od stołu. Pan Gordyan podał rękę babuni, do mnie przysunęła się Różia. Usta jej drżały, oczy były lez pełne.

— Ach! jakaś ty złośliwa, Liliano—szepnęła.

— Jakto?

Zaczęła mi wyrzucać, że się cieszyłam na myśl wycieczek konnych z księciem Pawłem; wymawiała mi, że byłam tak cierpka względem pana Gordyana.

— Powiedz lepiej odrazu, że kochasz swego kuzyna i chcesz wyjść za niego.

Z trudnością zdołałam ją uspokoić.



Nowy kościół w Kijowie.

— Przrzekam ci, że będziesz zawsze należała do naszych wycieczek; przrzekam ci, że będę się uczyła po polsku od pana Gordyana.

— Jakaś ty dobra!—zawołała Różia, rzucając mi się na szyję.

W godzinę później goście pożegnali nas.

Środa.

Lekcje już się rozpoczęły, ale mój nauczyciel nie okazuje zbytnej gorliwości. Nie był od zeszej niedzieli. Jeżeli on nie troszczy się o mnie, za to ja wiele o nim myślę i korzystam z każdej sposobności, aby o nim mówić. Wczoraj Małgosia opowiedziała mi smutne dzieje swojej siostry. Coprawda, ja sama wywołałam to opowiadanie.

— Małgosiu—rzekłam, kiedy rozczesywała mi włosy—jakim sposobem twoja matka dostała obłąkania?

— To ze zmartwienia po śmierci mojej siostry, proszę panienki.

Zachęcona przeze mnie, opowiedziała mi historię, którą wpisuję do dziennika.

„Nasz ojciec był pastuchem w Wilkach, ale zaziębił się i umarł, będąc temu dziesięć lat na Święty Marcin. Kto dziś patrzy na matulę, nigdyby nie uwierzył, że była kiedyś hoża, jak lania. Wszystkie trzy mieszkaliśmy razem w chacie nad jeziorem i było nam bardzo dobrze; pan i proboszcz pamiętali o nas, łowiliśmy ryby w jeziorze, zbierałyśmy grzyby i jagody w lesie, miałyśmy przytem kawałek gruntu, więc chleba nigdy nie brakło.

„Takiej urodzivej dziewczuchy, jak moja starsza siostra Marysia, w całej wsi nie było. Kiedy w niedzielę szła do

kościola, to ludziska wytrzeszczali oczy. Umiała czytać, pisać, rachować i śpiewała, gdyby anioł. Tego wszystkiego nauczył ją pan Gordyan, jej ojciec chrzestny, Marysia też przepadała za nim. Ile razy wyjechał zagranicę, traciła rozum z żalu i tęsknoty; skoro powrócił, szalała z radości.

„Jednej zimy, dziecko, wbrew zwyczajowi, pozostał w domu. Mówiono, że ma się żenić. Marysia całe dni spędzała we dworze, a przyszedłszy do chaty, śmiała się i szczebiotała, jak ptaszyna. Stara Józwa, znachorka, powiadała, że pan ją urzekł. Kiedy wspomniano przy niej o jego małżeństwie, udawała, że nie słyszy. Raz tylko, zniecierpliwiona przekomaraniem się chłopaków, zawołała: „A ja wam przysięgam, że on się nie ożeni!“

„Pochwyciły to złe języki i dalej wygadywać niestworzone rzeczy na biedną, niewinną dziewczuchę. Przyszedł proboszcz i czynił matce wyrzuty. Należało zapobiedz wielkiemu nieszczęściu, które nad nami wisiało.

„Matula się splakała i poszła prosto do dziedzica, prosząc, żeby nie gubił dziecka. Pan Gordyan zdziwił się i zapewnił, że nigdy nie miał złej myśli; nie wiedział wcale, co we wsi gadali i sądził, że dobrze czyni, ucząc swoją chrześniaczkę. Świadczył się Bogiem, że ma sumienie czyste. Matka wymogła na nim, żeby powiedział Marysi o swoim mniemanem małżeństwie i nie przyjmował jej nigdy we dworze.

„Tego dnia biedna dziewczucha wróciła od dziedzica w gorączce, nie chciała nie jeść, nie mówiła do nas, tylko ponuro patrzyła w ziemię. Piątego dnia, była to właśnie Wigilia Bożego Narodzenia, taki śnieg padał od południa, że światła nie było widać. Położyliśmy się wcześniej i zasnęły tak mocno, że ani matka ani ja nie słyszałyśmy skrzypnięcia drzwi. Nieszczęśliwa Marysia wysunęła się z chaty i boso, w koszuli i krótkiej spódniczce, z rozpuszczonemi włosami, pobiegła do dworu. Śnieg ciągle padał, psy się nawet pochowały, tylko w pokoju dziedzica świeciło się w oknach.

„Nazajutrz o świcie, zastukano do chaty i Bartek kował, ze starym Flisem pastuchem, wnieśli nieżywą dziewczynę. Znaleźli ją rano pod oknami dziedzica, zasypaną śniegiem. Była bledziutka jak lilia, ale uśmiechnięta.

„Matula nie płakała, nie zawodziła, ale kiedy we dwa dni później złożono Marysię w grobie, zaczęła tańczyć i śpiewać. Za zgryzoty pomieszało się jej w głowie.“

Opowiadanie Małgosi sprawiło na mnie silne wrażenie. Przez cały dzień myślałam o biednej dziewczynie, spowitej w śnieżne, zimne całuny, a więcej jeszcze o tym, który niewinnie stał się przyczyną jej śmierci. (D. c. u)

NOWY KOŚCIÓŁ KATOLICKI W KIJOWIE.

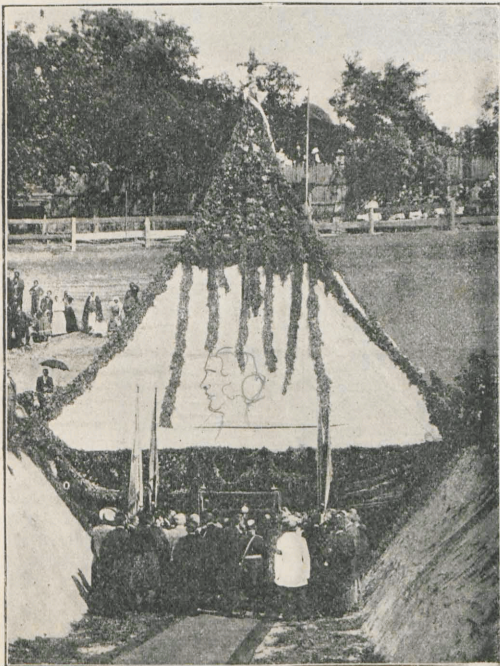
Obszerna, 30,000 dusz licząca parafia katolicka w Kijowie miała dotychczas tylko jeden kościół — Ś-go Aleksandra, nie mogący, rzecz prosta, zadosyć uczynić potrzebom wiernych. Starania, podjęte w r. 1896, celem uzyskania pozwolenia na budowę drugiej świątyni, uwieńczone zostały niebawem pomyślnym skutkiem. Do komitetu budowy kościoła, pod przewodnictwem p. L. Jankowskiego, weszli p.p. J. Andrzejewski, W. hr. Branicki, A. Czerwiński, W. Doliński, L. Gutson, J. Lychowski, W. Oltarzewski, J. hr. Potocki, J. Szczeniowski i S. Saryusz-Zaleski. Dzięki energii p.p. komitetowych i poparciu parafian, dotychczas wpłynęło do kasy około 190,000 rb., na poczet sumy kosztorysowej 247,000.

Kościół pod wezwaniem Ś-go Mikołaja stanie przy ulicy Wielkiej Wasiliewskiej, podług wyróżnionego na konkursie planu budowniczego p. Wolowskiego, w stylu gotyckim. Dwie wieże frontowe, wysokości 100 łokci, i trzecia mniejsza, po środku, zdobiec będą dom Boży, mogący pomieścić około 2,500 pobożnych. Roboty ukończone będą w przeciągu lat pięciu. Niedawno odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, na którą przybył z Żytomierza Dostojny

pasterz dycezyi łucko-żytomierskiej, J. E. ks. biskup Kłopotowski, w otoczeniu wielu kapłanów. Na spotkanie Dostojnika kościelnego wyszły tłumy parafian oraz duchowieństwo z proboszczem, ks. Żmigrodzikiem, na czele. Jego Eksceleńcy odprawił nabożeństwo, na intencję szczęśliwego rozpoczęcia robót, w kościele Ś-go Aleksandra, poczem nastąpiła ceremonia poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowej świątyni.

Wzniesiono tymczasową kaplicę, pięknie przybraną w zieleń i kwiaty. Obraz N. Panny Maryi Ostrobramskiej wziął pod swoją opiekę rozpoczęte dzieło.

Piękna pogoda, tłumne zastępy wiernych, natchniona przemowa Jego Eksceleńcy,



Poświęcenie kamienia węgielnego.

wzywającego do pamiętania o potrzebach domu Pożego, złożyły się na całość wspaniałej uroczystości.

NA OBCEJ GLEBIE.

Zbytek dziś i przed wiekami.—Prawa przeciwko zbytkom.—Ogon sukni ślubnej Katarzyny Medycejskiej.—Ile sukien wolno było sprawić żonie?—Kluby robotnie w Londynie.—Niewolnictwo w Afryce.—Różne rodzaje niewoli.—Życie w latach morskich.—Francya i Anglia.

Zbytek rozwielił się i zdemokratyzował w naszych czasach. Niegdyś był przywilejem tylko szlachty, dziś, kiedy granice między stanami zostały zniesione, wolno zbytkować każdemu, kto ma pieniądze, albo kredyt.

Chęć błyszczenia jest wrodzoną człowiekowi. W wykopalskich z epoki przedhistorycznej znajdujemy ozdoby z brązu, którymi niegdyś pyszniły się ówczesne modnisie z palafitów, albo dandysi okryci skórą zwierząt. Nietylko białogłowy lubili się stroić. Biblia szczegółowo opisuje toalety Estery i Judyty, a za cesarstwa rzymskiego zbytek doszedł do zenitu.

W średnich wiekach obyczaje większą odznaczały się prostotą, musiano się jednak i wówczas rujnować na stroje i przysmaki, kiedy królowie wydawali prawa przeciw zbytkom i surowymi karami obłożyli nadmierne wydatki swoich poddanych. Ustawy tego rodzaju spotykamy we wszystkich prawodawstwach europejskich do XVII wieku.

Wieczera mogła się składać z dwóch dań tylko i z zupy ze słoniną; na obiad wolno było mieć tylko jedną potrawę. Mieszczankom wzbroniono jeździć kolaską i kazać się odprowadzać wieczorem służbie z pochodniami. Tylko książę, baron, lub hrabia, posiadający sześć tysięcy liwrów dochodu, olbrzymi majątek na owe czasy, mógł sprawić żonie cztery suknie na rok. Zwyczajna szlachcianka musiała poprzestać na jednej. Dzisiejsi mężowie przyklasnęliby temu prawu.

Nawet ceny tkanin były ograniczone. Król francuzki Karol VIII zabronił używać złotogłowiu i aksamitu, „albowiem takie zbytki obrażają Boga i przynoszą szkodę państwu“; jeżeli jakiś szlachcic chciał się ubierać w materje jedwabne, musiał dowieść, że ma 2,000 liwrów dochodu.

Pierwszy Henryk II miał jedwabne pończochy we Francyi, na swoim weselu z Katarzyną Medycejską r. 1533. Ogon ślubnej sukni tej pani miał 48 łokci długości i był niesiony przez 20 paziów.

Syn Katarzyny, Karol IX wydał także surowe prawo przeciw zbytkom. Z wyjątkiem rodziny królewskiej, nikomu nie wolno było ubierać się w złotogłów i aksamit, używać do ozdoby sukien haftów, frendzli i pasmanteryi pod karą tysiąca talarów, z których połowa przypadała monarsze, a druga połowa biednym.

Pod każdym względem zmądrzeliśmy od tego czasu. Czy kto dawniej troszczył się o los klasy robotniczej? czy dbał o poprawę jej bytu, czy zastanawiał się, w jaki sposób podnieść jej poziom moralny, zapewnić godziwą rozrywkę? Na tem polu schyłek XIX wieku zaznaczył się dodatnio, a najwięcej dokonała w tym kierunku Anglia i Stany Zjednoczone.

Godnym największego uznania jest klub dla młodych robotnic, otwarty niedawno w Londynie.

Dla ludzi zamożniejszych wieczór jest zazwyczaj chwilą wypoczynku i rozrywki; zapelnia go poufała gawędka, dobra książka, muzyka. Wieczorem ustaje także praca w fabrykach i warsztatach, gdzie wtedy uda się robotnica? Gdzie znajdzie wytchnienie po długich godzinach, spędzonych na wysiłku fizycznym wśród huku machin, pod surowym okiem dozorców?

Wiadomo, czem są mieszkania ubogich ludzi w wielkich miastach: brudną, wilgotną norą, w której gnieździ się nieraz kilka rodzin. Dziewczę, wracające tam po całodzienniej pracy, dostaje się w środowisko, które najgorzej oddziaływa na fizyczność i moralność. Nie można się dziwić, że stroni od domu i szuka rozrywki na ulicy, gdzie czyha na nią tysiące pokus i niebezpieczeństw.

Dla robotników istnieje w dzielnicy East End zakład, zwany Toybee Hall, gdzie odbywają się ćwiczenia gimnastyczne, koncerty popularne i odczyty naukowe. Profesorowie wszechnie angielskich miewają tam pogadanki, odciągając uboższą ludność od szynków i jaskiń zepsucia.

Podobne kluby dla młodych robotnic są instytucją, przynoszącą nieobliczone korzyści. Obszerna sala na ten cel wynajęta jest rzęsisto oświetlona, pełna ładnych sprzętów, zwierciadeł, obrazów, kobierców. Za skromną opłatą pół pensa (2 kop.), można w nich dostać filiżankę herbaty lub kakao; są także bułeczki i ciastka. Osoby dobrej woli, po większej części panie i panny klas zamożniejszych, przychodzą tu grywać na fortepianie, urządzić chóry, uczyć dziewczęta czytać, pisać i rachować, szycia i kroju. Wiele pań przysłała tam znoszone suknie, nabywane przez robotnice za nader niską cenę i przetwarzane następnie wieczorami. Ćwiczenia gimnastyczne, śpiewy chóralne i muzyka stanowią najulubieńszą rozrywkę dziewcząt, które garmą się tu skwapliwie. Opłata tygodniowa, wynosząca tylko pensa (4 kop.), jest dostępną dla najuboższych.

Czytając o takich dziełach, otucha i nadzieja wstępują w serce; na tej drodze najprędzej można osiągnąć cel tak ważny, jak podniesienie poziomu moralnego i umysłowego klas pracujących.

Na dobro XIX wieku, z którym wkrótce już zamknijemy rachunki, należy też zapisać walkę, prowadzoną z niewolnictwem, dotychczas istniejącem w Afryce. Jest to plaga, którą trudno wykorzenić, mimo wszelkich usiłowań, podejmowanych przez państwa europejskie. Na plemiona w okolicach Nigru napadają stale sąsiedzi ich, Fulasowie, sprzedając żywy towar na rynku w mieście Kano. Najmniej 500 niewolników można tam widzieć w dni targowe. W samem mieście, jednym z najważniejszych w zachodniej Afryce, żyje ich około 50,000. Wartość jednego niewolnika wynosi od 250 do 500 franków.

Najlepszym klientem dla handlarzy niewolników jest Azja, a zwłaszcza Arabia i Persya; tysiąc pięćset statków służy do przewozu żywego hebanu. Kto polczy, ilu tych nieszczęśliwych zginie w drodze przez pałace piaski pustyni, lub przez gąszcze lasów? Szlak, którym przechodzi karawana, usiany jest trupami; skoro szakale i sepy ciała poszarpią, kości ich bieleją na piasku, niby złowrogie drogowskazy.

Niewolnictwo jest ważnym czynnikiem życia społecznego w Afryce: rodzice sprzedają tam dzieci, wierzyciele niewypłacalnych dłużników, sędziowie przestępców. Właściciele używają ich zamiast zwierząt pociągowych do przenoszenia kauczuku, wosku i kości słoniowej do miast nadmorskich, skąd wracają obładowani towarami europejskimi.

Brak monety stanowi także przeszkodę do usunięcia złego. W Afryce niema innych pieniędzy, prócz muszelek zwanych *kauri*, których sto idzie na 10 centymów. Kto chce płacić gotowizną za przedmiot wartości 12 franków, musi dźwigać worek muszli ważący 50 kilogram. Niewolnicy zastępują monetę i każda karawana wyruszająca w drogę zaopatrzyć się w stosowną liczbę żywego towaru, który służy do zaspokojenia kosztów podróży.

Nietylko w Afryce istnieje jeszcze niewola, spotykamy ją także w Europie, gdzie przybiera najrozmaitsze postacie. Iluż to zaprzęda się w niewolę dla pieniędzy, lub dla chleba, ilu schyla kark pod jarzmo własnych namiętości. Niezawsze jednak niewola hańbi, jest taka, która uszlachetnia: niewolnik danego słowa, niewolnik obowiązku budzi w nas podziw i szacunek. Takim ludziom właśnie chcemy słów kilka poświęcić.

Któż nie oblał łzami prześlizanej nowelki Sienkiewicza „Latarnik”? Komu nie utkwiła w pamięci postać tulacza, żyjącego samotnie wśród przestworów oceanu? Los tych strażników, czuwających nad bezpieczeństwem okrętów, jest bardzo ciężki, odpowiedzialność wielka, zadanie doniosłe, wymagające odwagi, zaparcia się i surowego poczucia obowiązku. Nigdzie jednak to stanowisko nie jest połączone z takim niebezpieczeństwem i poświęceniem, jak w latarni morskiej na wyspie Belle-Isle, wysuniętej daleko na północ, za ostatnią

odnogę zatoki Ś-go Wawrzyńca. Żaden parowiec tamtędy nie przepływa, żaden okręt handlowy nie zupuszcza się w te chłodne strefy, nawet barki rybaków z Nowej Ziemi omijają skalistą strażnicę. Na wiosnę tylko, kiedy potężne kry i góry lodowe spłyną ku południowi, nieraz zabłąka się tu żaglowiec z myślwiymi, polującymi na psy morskie. Mimo to, dwie olbrzymie latarnie płoną na wyspie nieprzerwanie od 1 kwietnia do 20 grudnia, a dwaj pustelnicy, którym zlecono pieczę nad niemi, przebywają tu zawsze, dla niesienia pomocy rozbitkom.

Trudno sobie wyobrazić smutniejsze pustkowie nad tę wysepkę, zruconą, jak straconą placówką, wśród przestworów oceanu. Żadne drzewo tam nie rośnie, zaledwie kilka karłowatych krzaków i rzadki płat murawy ożywia posępną barwę granitu.

Raz na rok tylko, w październiku, zawija tu z Kwebeku parowiec, przywoząc zapasy żywności, węgla i listy do rodziny i przyjaciół. Po wyładowaniu skrzyń i worków na wybrzeżu, okręt spiesznie opuszcza niegościnnie wody, a strażnicy muszą przenieść setki centarów do latarni, sterzącej na stromem urwisku, 400 stóp wysokim.

W tych strefach wcześniej zaczyna się zima, już w końcu października srożą się zawieje śnieżne, wiatr północny chłoczce wzburzone fale, mróz do szpiku kości przenika, mgły szarym całunem otulają samotną skalę. Coraz rzadziej w oddali zaczerpi ślup dymu z okrętowego kominia, zabyśnie światelko na przepływającym statku. W początkach grudnia wszystko to się kończy, żaden żagiel nie zabieli się już na widnokręgu i tylko dwa jasne punkciuki, widzialne podczas pogodnych nocy, odbicie latarni morskich z przylądka Normon w Kanadzie i przylądka Bauld w Nowej Ziemi, stanowią łącznik ze światem.

Co wieczór, obu samotników czeka ciężkie i niebezpieczne zadanie: trzeba się spuścić z osłizgłych urwisk, aby zapalić drugą latarnię, na skalistym cyplu, 128 stóp wysokim. Światło jej rozchodzi się na 30 kilometrów w około, dostrzegalne nawet wówczas, kiedy lawice mgły przyćmią blask wyższej latarni.

Choć burza rozhuła się nad światem, choć tumany śniegu biją w oczy, a skorupa lodu pokryje urwiska, strażnik, niewolnik obowiązku, musi dwukrotnie odbyć tę drogę, gdzie na każdym kroku grozi mu śmierć lub kalectwo, ale 20 grudnia ustaje i ta robota. Pustelnicy z wyspy Belle-Isle po raz ostatni zapalają lampy, po raz ostatni widzą słaby promyk światła z latarni kanadyjskich. Odtąd przez kilka miesięcy otacza ich nieprzerwana noc, rozjaśniona niekiedy blaskiem zorzy północnej, odtąd jedynymi gośćmi są burze, zadymki śnieżne i mróz, dochodzący 30°, jedynym odgłosem wśród grobowej ciszy jest ryk wichru i huk bałwanów, bijących o skały.

Dopiero w marcu zawinie czasem do pustkowiec statek rybacki, przynosząc wieści ze świata i po krótkim wypożyczku dąży dalej. Od 1 kwietnia płonie znowu latarnia, słońce dłużej świeci na widnokręgu, a koło wysepki płyną nieprzerwanie olbrzymie kry i góry zielonawego lodu, siłą prądu unoszone z oceanu Północnego na Atlantyk. Z szumem i loskotem kołyszą się one na falach i nikną w oddali, niby fantastyczne widziadła. Nastaje krótka wiosna i jeszcze krótsze lato, podczas którego niejeden statek zabłąka się tu przypadkiem, wityny z radością przez obu strażników. Z kolei nadechodzi październik i na wyspie znów panuje samotność, szaleją burze i ocean zawodzi ponuro.

Poczucie obowiązku jest jedyną osłodą życia tych ludzi.

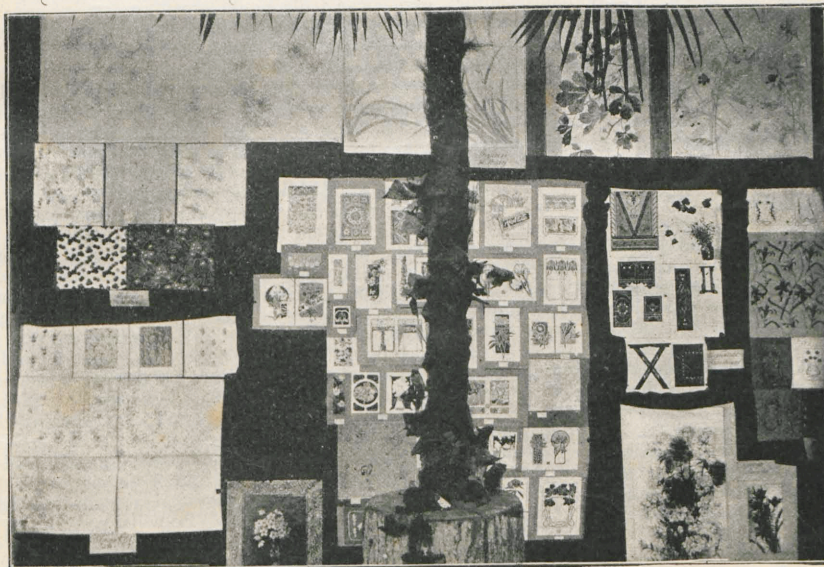
Niewiele brakowało, aby z powodu nędznej osady afrykańskiej, lew brytański nie zaczął się czubić z galijskim kogutem. Niesnaski między obu narodami trwają od wielu stuleci: dość przypomnieć Ryszarda Lwie Serce i Filipa Augusta, księcia Czarnej i Joannę d'Arc, bitwy pod Crécy, Malplaquet, Fontenoy, Trafalgar, Waterloo.

Czyżby przyczyną tych waśni była istotnie różnica ras, jak utrzymują dzienniki wszelkich czerwonych odcieni nad Tamizą i nad Sekwaną?

— Jesteśmy Anglo-Saksonami—mówią potomkowie Celtów, Piktów, Szkotów i Normanów.

— Należymy do rasy romańskiej—odpowiadają Austrazyjanie, Gallowie, Frankowie, Maurowie, Anglicy z Gujenny i Gaskonii, Baskowie i Iberowie z Pirenejów.

Spór się zagnia i zacietrzewione narody nie widzą, że dzieli je tylko sprawa ekonomiczna.



Wystawa konkursowa wzorów deseniowych na wyroby tkackie, dla fabryki żyrardowskiej.

(Artykuł „Z krainy piękna“ w n-rze 41.)

Fotografia-amatora, A. Münchheimera.

Z powodu Faszody, Francja i Anglia o mało się za lby nie wzięły. W Paryżu takie panowało rozjątrzenie, jak gdyby Salisbury zamyślał posadzić na miejscu prezydenta cesarżowę Indyj. John Bull ze swojej strony okrutnie się nasrożył i domagał się natarczywie, aby dać porządną nauczkę postrzelonym sąsiadom z za Kanału.

Na szczęście, spór załagodzony i ani kropla krwi przy tem nie pociekła, wylano tylko masę atramentu i zużyto mnóstwo piór, roztrząsając siły wojenne i zasoby ekonomiczne obu państw.

W r. 1801 Francja miała 27 milionów mieszkańców, Anglia zaś tylko 16 milionów; w r. 1851 Francja 36 mil., Anglia 27; w 1899 Francja 38,500,000, Anglia 40 milionów.

Wiele przyczyn składa się na powolny przyrost ludności we Francji, jedną z głównych jest zanikanie rodziny. W Anglii oprócz licznych towarzystw opieki nad dziećmi, każda matka, wydająca na świat trojaczki, ma prawo do sutego podarunku od królowej. Podczas swego pobytu w Nizy, sądziwa monarchini dowiedziała się, że jedna z jej uboższych poddanych urodziła trzech chłopców; w kilka

dni później, okazała sumka została przesłana szczęśliwej matce.

Jeżeli ludność wzrasta powoli we Francji, za to podatki i ciężary zwiększają się tam bardzo szybko. W r. 1801 dług narodowy wynosił 725,000,000 fr., dziś doszedł do 31,100,000,000. W Wielkiej Brytanii przeciwnie, dług narodowy, z 13,350,000,000 w r. 1801, wzrósł przez ubiegłe stulecie tylko o trzy miliony niespełna.

Ekonomista Juliusz Roche wykazał przyczyny złego: we Francji izba poselska ma prawo szafowania groszem publicznym, kiedy w Anglii pozostawiono ten przywilej koronie. Każdy poseł francuzki, chcąc zyskać łaski wyborców, stara się pozyskać dla nich różne korzyści z uszczerbkiem budżetu. Prywata góruje nad dobrem kraju.

Plagą Francji jest także biurokracizm. Każdy pełnoletni Francuz, posiadający świadectwo szczepionej ospy i dyplom bakałarza, zanim jeszcze wyjdzie z pod skrzydeł *Alma mater*, marzy o jakim urzędzie, który dalby mu być spokojny i uwolnił od myślenia o przyszłości. Państwo obowiązane jest żyć wszystkim. Posłowie starają się o posady dla swoich protegowanych, a w braku stwarzają nowe, np. inspektora pomników Sahary, albo naczelnika świeżego powietrza.

W Anglii jest inaczej, tam każdy walczy o byt i zdobywa sobie stanowisko; na urzędnika idzie tylko człowiek, któremu natura odmówiła wyższych zdolności, energii i ducha przedsiębiorczego. Wobec tego nie można się dziwić, że Anglicy wypierają zewsząd swoich sąsiadów z za Kanału, że owdładnęli handlem i przemysłem. Francya, zamiast współzawodniczyć z nimi, broni się za pomocą wysokich cel ochronnych, ale i to niewiele pomaga.

Niech się pocieszy tem, że i Anglia ma groźnego rywala, który rozporządza znacznymi kapitałami, posiada cierpliwość, wytrwałość i energię ras silnych; tym rywalem są Niemcy. Nietylko na rynku wszechświatowym wystąpiły one do współzawodnictwa, ale w samej W. Brytanii przemysł niemiecki zagarnia coraz więcej pola dla siebie. P. Williams, autor słynnej książki *Made in Germany* (Zrobione w Niemczech) zwrócił uwagę ziomek na niebezpieczeństwo. Począwszy od banków, a skończywszy na butach i kapeluszach, wszystko jest niemieckie. To istny najazd Germanów, tem groźniejszy, że dokonywa się pocichu i nieznacznie.

Każdy prawowitny Anglik żyma się zobaczywszy na przedmiocie nabytym w Londynie słowa „*Made in Germany*“. Prawdziwe przerażenie zapanowało w kraju, kiedy w innej książce p. Williams wykazał, że wywóz towarów z Anglii w ciągu ostatnich dwóch lat zmniejszył się o 500 milionów, przywóz zaś wzrasta w stosunku zastraszającym.

John Bull nie zwykł jednak marnować słów i czasu, niezwłocznie więc zabrał się do czynu. Rząd wysłał agentów do Azji i Afryki, aby wyrobić nowe rynki zbytu dla swego przemysłu i ogłosił sprawozdania konsulów, którzy wytykają negocyantom angielskim błędy i usterki, wpływające na upadek handlu.

Anglia nie ustąpi bez walki i w poczuciu własnej potęgi drwi sobie zarówno z gniewu cesarza Wilhelma, jak z pogroźek francuzkich.

Spór rozstrzygnie się w XX wieku. Jedno z dwojga: albo Anglia będzie musiała wyrzec się przewodniego miejsca, albo też zwycięży współzawodników i będzie tak samo królowała na polu handlu i przemysłu, jak obecnie króluje na morzu.

α - ζ

LOS ZBIORÓW

I

BIBLIOTEK PRYWATNYCH.

Poruszona w roku ubiegłym oraz obecnym w „Biesiadzie“ a przyjęta życzliwie przez ogół myśl utworzenia towarzystwa opieki nad starożytnościami krajowymi i wszelkimi zabytkami przeszłości, zrodziła myśl pokrewną: zaopiekowania się losem bibliotek i zbiorów prywatnych.

Wszelkie widome ślady pracy ludzkiego ducha, wszystko co nam przekazała przeszłość, czy to w postaci instytucji, czy dzieł sztuki lub budowli publicznych, czy bibliotek, stanowią zasób społeczny, własność ogółu, z której przeszłe pokolenia korzystały, obecne korzystają a przyszłe korzystać będą.

Taką własnością powszechną, skarbem, ulegającym ciąglemu wzbogacaniu się, jest myśl ludzka i nierozłączny z nią język, przez przodków nam przekazany. Powiernicą myśli i języka, jak się wyraża nasz głęboki myśliciel Supiński, jest księga, w której, jak w zwierciadle, nietylko odbija się duch czasu, lecz która zarazem daje świadectwo, jak się ten język rozwijał, jakie przechodził koleje i jakim ulegał wpływom.

Nie też dziwnego, że od najdawniejszych czasów, a właściwie od chwili, w której prawdziwa cywilizacja urabiać się zaczęła, ludzkość umiała cenić rękopisy, zbiory i księgi, jako dowody swej umysłowej kultury i opiekowała się bibliotekami. Dziś biblioteki stały się potężnymi dźwigniami oświaty, mając zapewnione środki dla swego rozwoju i bezustannego uzupełniania.

Jeśli jednak biblioteki publiczne, lub na stałej fundacji oparte, nie potrzebują się troskać o jutro, to o zbiorach i bibliotekach ludzi prywatnych, nawet bardzo zamożnych, nie można tego powiedzieć. W największej liczbie przypadków, ze śmiercią właściciela biblioteka jego idzie w rozsypkę, i jeśli nie wędruje na strych, aby się stać pastwą myszy lub zbutwieć, służy domownikom do rozmaitych użytków, w najlepszym razie sprzedaje się na funty handlarzom książkowego towaru za marną cenę.

Czyż to mało jest ludzi, którzy całe życie zabiegają, nieraz od ust sobie odejmują, aby zdobyć do kompletu to lub owo dzieło, nabyć na własność jakąś rzadką książkę, jakiegoś białego kruka? Nie myślimy tu o zapalonych zbieraczach, chwytających wszystko, co się znajdzie pod ręką, aby tylko swe zbiory ilościowo zwiększyć, lub o tych maniakach (choć zbieranie książek to słabość szlachetna), chcących mieć dużo książek w pięknej oprawie, lecz nie znających się na ich wartości bibliograficznej; mówimy wyłącznie o bibliofilach, którzy z pewnym planem gromadzą swe zbiory lub księgi, w jakimś specjalnym kierunku. Zbiory tą drogą powstałe są często niezmiernie cenne, mają wartość, nie dającą się na pieniądze oszacować i dla nauki częstokroć mogą mieć daleko większe znaczenie, niż biblioteki ogólne, imponujące swemi rozmiarami.

Wobec tego faktu, że znawca bibliofil często całe lata poluje, zanim odszuka i nabędzie dane dzieło, i przed żadną ceną się nie cofa, jest rzeczą zrozumiałą, dlaczego niejedna biblioteka, dziesiątki tysięcy tomów licząca, nie posiada tego, co się nieraz w księgozbiornie o kilku szafach znajduje. Tacy znawcy godni są najwyższego uznania; są to niejednokrotnie męczennicy idei, której urzeczywistnienie chłodem i głodem okupują. Z lubością patrzą oni na swe zbiory, do swych ksiąg uśmiechają się, jakby do własnych dzieci, recytują historię nabycia każdej z nich i opowiadają o fortelach, jakich użyli, aby je do swych zbiorów wcielić. Nieraz machną ręką, gdy ich się kto spyta, skąd tę lub ową książkę wzięli, dając tem do zrozumienia, że to tajemnica. Takimiu zamilowanemu zbieraczowi lżą oko zachodzi, gdy sobie wspomni, że kiedyś trzeba się będzie rozstać z ukochanymi przyjaciółmi, co rozklasyfikowani wedle swego dostojenstwa, niby ludzie, jedne zajmują specjalne półce, jakby miejsca honorowe, inne znów miejsca mniej poczesne, a inne są jako więźnie pod kluczem i tylko kiedy niekiedy sam na sam przez właściciela bywają oglądane i uwielbiane.

„Mój Boże—mówi niejedyn taki bibliofil—co się też z temi książkami stanie po mojej śmierci? Pewno pójdą do obwijania świec lub molom na pastwę, jeśli ich na funty handlarzom nie sprzedadzą. Bo widzi pan—mówi dalej—brat mój młodszy wcale się na tem nie zna i jest mu obojętne, co się z temi książkami stanie; choć możebym go uprosił, aby się niemi zajął, ale siostra patrzy na nie nieprzyjawnym okiem, jak na wrogów, bo, jak mówi, z książek tylko masa kurzu się robi. Jakież więc na to sposób, aby książki, w których tyle pieniędzy i ciężkiej pracy mej siedzi, od zagłady uchronić?“

Byłby sposób bardzo łatwy, gdyby istniało *Towarzystwo ochrony zbiorów i bibliotek prywatnych*, któreby nie pozwoliło, aby zbiory wartościowe uległy zatraceniu.

Czy społeczeństwo, nie przedsięwzięjące w tym razie środków zaradczych, nie jest podobne do Kalifa Omara, który spalił bibliotekę Aleksandryjską? Jest gorsze chyba od Omara, bo ten raz tylko dopuścił się przestępstwa, gdy tymczasem toż społeczeństwo zezwala na to, aby od czasu do czasu jakiś cenny zbiór zaginął lub wartościowa biblioteka się rozproszyła. W ostatnim dziesięcioleciu w samej Warszawie zmarowanych zostało kilka godnych opieki ogółu bibliotek, nie mówiąc już o prowincyi, gdzie w sposób niespodziewany z niejednym ładnym zbiorem spotkać się można. A ile cie-

kawych i już dziś rzadkich książek przypadło do bibliotek poklasztornych, w których sobie jak szare gęsi gospodarowali przyjezdni amatorowie, zabierając, jak swoje, co się dało!

Nie chcąc argumentować ogólnikami, wolimy przytoczyć przykład wprost z życia wzięty.

Wszakże wszystkim wiadomo, że cenny zbiór sfragistyczny po ś. p. Bolesławie Podczaszyńskim, zbiór, nie mający sobie równego pod względem wartości historycznej, od lat przeszło dwudziestu czeka na nabywcę. Zbiór to budzący podziw i uwielbienie dla czeigodnego jego twórcy. Pisał o nim F. M. Sobieszczański w „Tyg. Ilustr.“ w r. 1876, pisała w tymże roku „Biesiada“, pisał niepośledni znawca starożytności M. Wisłocki i takie powagi jak Lepkowski, Przyborowski, Pawiński, Gloger i niedawno Ptaszycki. Dość powiedzieć, że zbiór ten zawiera doskonale przechowane i z całym znanstwem rzeczy wykonane na gipsie, laku, wosku lub metalu pieczęcie królów i książąt polskich, ich rodzin, począwszy od Ryksy, żony Mieczysława II, do ostatnich czasów; książąt udzielnych, szląskich, pomorskich, kujawskich, wielkopolskich, mazowieckich, litewskich i ruskich; arcybiskupów gnieźnieńskich, lwowskich i innych; biskupów krakowskich, poznańskich, warmińskich, kujawskich, plockich, wileńskich, chełmińskich; dekanatów, zakonów, kapituł, klasztorów z Tyńca, Lysej Góry i innych; pieczęcie miast polskich, władz miejskich, burmistrzów, ławników, cechów rzemieślniczych i kupieckich; towarzystw naukowych, instytucyj specjalnych, wielkich mistrzów krzyżackich, władz i urzędów państwowych, dygnitarzy, sądownictwa; dalej, pieczęcie wojskowe, oświaty, prywatne ważnego znaczenia, rycerskie, mieszczan, znaki masonskie i t. d., ogółem sztuk przeszło 8,000 z należącymi do tego zbioru w olbrzymiej ilości nagromadzonemi materiałami z różnych pism periodycznych, odpisami z dzieł w różnych językach. Wreszcie do zbioru tego należą rysunki liczne, fotografie, oraz rękopisy opracowany przez Podczaszyńskiego „O Piastach mazowieckich“, również licznymi rysunkami zaopatrzone. Zbyteczne dowodzić, jak olbrzymiego nakładu pracy, fachowego przygotowania i pieniędzy trzeba było, aby podobny zbiór skompletować. Tak cenny dla dziejów naszych, tak monumentalnie je odtwarzający zbiór jest do nabycia za pięć tysięcy rubli, to jest może za jedną piątą część kosztów, jakie poniósł Podczaszyński. Jakże to smutne, że w ciągu lat tylu nie znalazł się nabywca! Ta głuchota naszego ogółu i naszych instytucyj prywatnych na tylokrotne odzywianie się właścicieli, chyba się tłumaczy tem, że dla wielu sfragistyka, ta ważna nader gałąź pomocnicza historii, jest wilkiem żelaznym.

Sfragistyka ma nierównie donioślejsze znaczenie dla historii, niż numizmatyka, która była u nas o tyle szczęśliwszą, że przynajmniej niektóre epoki zostały w niej dokładniej opracowane. Wynika to z natury samego przedmiotu, bo gdy pieniądź, jako bity w tysiącach lub stach tysięcy egzemplarzy, łatwiej, nawet z najodleglejszych epok, mógł się zachować, to rzeczy takie jak pieczęcie, i wogóle to, co wchodzi w zakres sfragistyki, są unikatami, świadzącymi bądź o przywilejach, nadanych pewnej jedynej tylko miejscowości, bądź stanowiącymi historyczną pamięć. O wiele trudniejsze jest utworzenie zbioru sfragistycznego, niż numizmatycznego; nieraz bowiem pożary, wojny lub inne katastrofy całe grody w perzynę obracają, a wówczas mnóstwo dokumentów historycznych, pieczęci, insygniów i t. p. przedmiotów, raz na zawsze ulega zataraceni. Ponieważ pergamin lub papier, przekazujący dzieje i prawa danej epoki, łatwiej ulega zniszczeniu, to jedna nieraz pieczęć dozwala nawiązać zerwany dziejowy wątek. Z niej to bowiem historyk, jak przyrodnik, z ulamku szkieletu całe zwierzę odtwarzający, może również odtworzyć przeszłość, i swe domysły lub hipotezy oprzeć na trwałej podstawie.

Zrozumiał to dobrze Podczaszyński, wkładając ogrom pracy, kosztów i wiedzy w swój niezrównany i podziwiany przez znawców zbiór; a nasz wielki mistrz Matejko, ten potężny malarz-historyk, nie szczędził swego czasu i ołówka na wierne kopiowanie wielu rzadszych pieczęci.

Objętość, jaką ogół za pracę całego życia Podczaszyńskiemu płaci, zdaje się dowodzić, iż nie zdajemy sobie sprawy z wielu, bardzo wielu okoliczności. Tam, gdzie istnieje stała opieka nad wszelkimi zabytkami lub materiałami historycznymi, specjalne instytucje myślą za cały ogół, tam osoby prywatne nie potrzebują się troszczyć o los tego rodzaju zbiorów. Jeżeli my sami o własne a tak ważne i źródłowe zabytki dbać nie będziemy, któż nas wyręczy? W tym razie stowarzyszenie mogłoby sprawę nabycia i ochrony od zagłady

zbiorów Podczaszyńskiego skuteczniej zatłwić, niż usiłowania pojedyncze.

Jeżeli projektowane przez „Biesiadę“ stowarzyszenie opieki nad starożytnościami i zabytkami przeszłości posiada rację bytu, to również racji bytu odmówić niepodobna stowarzyszeniu, któreby miało za zadanie ochronę bibliotek i zbiorów prywatnych od zniszczenia i zdefektowania. Wszakże jedno stowarzyszenie z drugim tak ściśle jest związane i tak podobne ma cele, że bez tworzenia czegoś zgoła nowego, możnaby opiekę tę poruczyć Towarzystwu przez „Biesiadę“ projektowanemu.

A o cóż tu chodzi?

Nie o to, aby członkowie takiej opiekuńczej instytucji mieli się mieszać do spraw prywatnych lub rozciągać kontrolę nad cudzą własnością, lecz o to, żeby ile razy dojdzie do nich wiadomość o śmierci właściciela jakiejś biblioteki, lub o mającej nastąpić sprzedaży i t. p., bibliotekę ocenili, rzeczy rzadkie i wartościowe wyróżnili, i zwrócili uwagę na te zbiory bądź to zarządów bibliotek publicznych, bądź prywatnych, a mających środki zabezpieczone. Chodzi tu więc o informację, o udzielenie wskazówek i rozgłoszenie samego faktu, że ten zbiór lub owa książnica jest do nabycia. Nawet sami kolekcjonerzy chętnym okiem by na takie stowarzyszenie patrzyli i mogliby spać spokojnie, mając pewność, że praca ich uszanowana i spożytkowana będzie.

Przedstawiamy projekt tylko, któryby zaledwie szkiecem nazwać można, gdyż nam w tej chwili, o szczegóły nie chodzi. Rozwinięcie tego projektu należy pozostawić ludziom fachowym. Niech ci obmyślą najodpowiedniejszy i do celu najłatwiej prowadzący sposób działania; że jednak coś w tym względzie działać należy, o tem dwóch zdań niema.

§. 2.

Roman Plenkiewicz.

U KOLEBKI I GROBU

KSIECIA POETÓW POLSKICH

(Ciąg dalszy.)

Z początku r. 1558 poeta zmuszony był wrócić do rodzinnej zagrody. Wolano go tam przedewszystkiem wesele brata, Piotra, z Anną Odrzywolską a potem sprawy majątkowe.

Tymczasem w życiu politycznym wydarzył się wypadek, który zwrócił uwagę Kochanowskiego. Możny hetman, niezadowolony z długiego pobytu króla na Litwie, w obawie, aby nie oddał się Zygmunta zupełnie wpływom potężnego Mikołaja Radziwiłła, zwołał naradę senatorów do Osieka, gdzie w asystencji nielicznego zresztą grona dygnitarzy państwowych wystosowany został list, ubliżający majestatowi króla Jegomości. Zarzucano mianowicie królowi „iż polską straż zawiódł, a sam do Litwy z granic zjechał“. Odpowiedział na tę protestację panów, zgromadzonych w Osieku, król listem, w którym czytamy między innymi: „Trudno byłoby to inaczej rozumieć mieli, jedno, iż się to dzieje nie tak ku zbudowaniu całego dobrego Rzeczypospolitej, jako więcej ku rozjątrzeniu myśli ludzkiej przeciwko nam, zwłaszcza, że ten list między waszmościami, którzyście go do nas przysłali (jakoż tego dostateczną sprawę mamy) nie został; ale my to raczej czasowi, a trzodzie tej, która natenczas była (sekretarzom? dworzanom?) przypisać wolimy.“

Tarnowski w odpowiedzi na to pismo króla usprawiedliwił wystąpienie senatorów osobliwą miłością ku niemu i chęcią służenia Rzeczypospolitej.

Szlachta, podobnie jak zawsze, kiedy możnowładztwo występowało przeciw królowi, stanęła po stronie protestujących.

Nie miał Kochanowski nic przeciw rozszerzeniu protestacji wśród szlachty, ale z jej usposobieniem niechętnem dla króla bynajmniej nie spółczuł. Nie cenil zresztą wysoko zdolności politycznych gminu szlacheckiego. Wspominał z ironią, że wszelkie sprawy polityczne załatwia przy pełnej składnicy, co już zresztą zauważał pełen animuszu i swady Rej z Nagłowic. Z niemniejszą też niż Rej dosadnością napiętnował tego rodzaju posiedzenia szlacheckie w Pieśni XVIII ks. I, do której zapewne zbierał rysy typowe nie z jednego

OBRAZ E. HILDEBRANDA.



TULIA TRATUJE ZWŁOKI SWEGO OJCA.

z sąsiadów. „Niedość, że gospodarz patrzy na gościa niechętnie, gdy ten mu za jego kwaśne piwo dziękuje, ale miota się w gniewie, odpędza żonę od stołu, fuka na pacholców i ciska za nimi talerzami. Gdzieindziej znowu biesiadnicy, dla wzbudzenia większego w gardle pragnienia, raczą się serem twardym, zającą rydze, śledzie, ogórki i dopiero wtedy zalewają piwem „to swoje wesele“. Owdzie znow gospodarz musi gości rozważać: leca kufle jak grad; ów wziął konwią w łeb, aż mu na nim zostały obręcze, więc w poczuciu zniewagi do arkażów się biorą, a poeta pyta i słusnie: „Jeśliści tak weseli, jakąż u was zwada?“ Ale do krwi rozlewmu nie zawsze przychodzi, więc znowu po przespaniu jedną się przy pełnej, śpiwając tak harmonijnie, że niejeden wolałby za drzwi się wynieść. Takie to krotchwile wyprawiała sobie domorośla szlachta, z którą jednak żyć było trzeba.“

Zjąc w takim otoczeniu, wiele się uradował Kochanowski, kiedy przyjaciel jego z czasów padewskich, Piotr Kłoczowski, zjawił się w rodzinnym Kłoczowie. Namawiał on poetę do wyjazdu za Alpy, ale napróżno. Odprowadził wszakże towarzysza Kochanowski do Krakowa. Tutaj święcił wstąpienie do przybytku poezji pierwszym drukowanym utworem. Była nim pieśń *O potopie*, napisana pod wpływem *Potopu* Reja oraz z natchnienia Biblii.

Znalazł był poeta w stolicy dawnych znajomych, zadzierzgnął nowe z ludźmi, oddanymi naukom związku przyjacielskie. Wśród przyjaciół z czasów akademickich wyróżniał się przede wszystkim profesor akademii, Jakób Górski, autor wielu pism retorycznych.

Ale niedługo bawi poeta w Krakowie. Zapowiedź nowego sejmku, przez króla zwołanego, zmusza go do opuszczenia miasta.

20 listopada otwarto obrady na wielce zapowiadającym się sejmie Piotrkowskim w r. 1558/9. „Niezwyczajnie było gwarno i rojno w Piotrkowie, którego szczupły, murami zewnątrz zacieśniony obręb, zaledwie mógł senatorów i małą liczbę posłów pomieścić. Na ten sejm przybył i poeta, potrzebą ustalania losów wiedziony. Wszyscy znani mu dostojnicy, jak Tarnowscy, Tęczyński, Firlejowie, Mieleccy przybyli tu ze swymi dworami; przy każdym więc z nich mógł się na czas sejmku zawiesić.“

Z sejmku tego atoli nie wyniósł poeta wrażeń dodatniego. Mógł on nawet w pewien sposób zachwiać jego pojęcia republikańskie, wyniesione z ojczyzny Pomponiusa Lety. A i sympatyje jego dla reformy wyszły pewnie z obrad sejmowych uszczerbione; mógł się bowiem naocześnie przekonać, że waśń religijna podmywa fundamenta budowy społecznej. Sejm ten i pod względem osobistym nie zadowolił poety. Nadzieje jego zajęcia stanowiska w kancelarii królewskiej spęłzły na niczem. Już może zwątpiłby Kochanowski na zawsze o możliwości dostania się do kancelarii, gdyby nie osobistość, która w życiu poety nie przeszła bez śladu. Mówimy o Łukaszu Górnickim, który przybył na sejm piotrkowski, aby przerwaną od trzech lat służbę u podkanclerzego Przerębskiego, nanowo rozpocząć u boku Zygmunta w charakterze jurgieltnika.

Prócz Łukasza poznał był Kochanowski w Piotrkowie rzecznicza gminu szlacheckiego, sławnego na całą Polskę Reja z Nagłowic. Nie mógł się on z nim mierzyć jako z poetą w ojczystej mowie piszącym, ale natomiast górował nad Rejem jako poeta łaciński, zasobny w wiedzę humanistyczną. Nie wiemy, jakie wrażenie wywarł Rej na Kochanowskim, o którym Jędrzej Trzcieski pisze:

Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz,
W naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz.

Kochanowski, lubo w Piotrkowie, ulegając ogólnie panującej opinii, miał Reja za poetę z łaski Bożej, później jednak, kiedy w sądeniu stał się samodzielniejszy, inaczej się wyrażał o twórcy „Wizerunku“. Swoją drogą Rej, kiedy odczytał był wspaniałą pieśń: „Czego chcesz od nas Panie“, uznał przewagę nad sobą słowika z Czarnolasu.

Jednak nie przyszło do bliższej znajomości między dwoma potentatami w dziedzinie poezji, za wielką bowiem dzieliła ich przepaść. Kochanowski przewyższał Reja pod względem wykształcenia i smaku. Rej był gorącym krzewicielem reformy; Kochanowski, jako natura bardziej zrównoważona, stronił od głośnych sporów religijnych. W końcu mogła zażyć i różnica wieku.

(D. c. n.)

CHWIŁA BIEŻĄCA.

— *Kościół N. Maryi Panny Łaskawej* (po-pijarski) przy ul. Świętojańskiej, odnowiony gruntownie i zaopatrzonej w ogrzewanie centralne, pozyska niebawem nowe organy.

— W pierwszą rocznicę śmierci, ś. p. *Henryka Perzyńskiego*, b. założyciela i redaktora „Dziennika dla wszystkich“ w kościele po-franciszkańskim, odbyło się poświęcenie nagrobkownicy, wmurowanej, kosztem kolegów i współpracowników zmarłego, w ścianę tegoż kościoła. Nagrobek, chociaż skromny, miło robi wrażenie. Część kamieniarską wykonał p. Henryk Zydok, medalion artysta rzeźbiarz p. Antoni Olesiński, odlew w bronzie p. Konstanty Wolski. Podobny nagrobek, podług fotografii Ad. Münchheimera, podajemy w numerze bieżącym. Na nabożeństwie żałobnym znajdował się liczny zastęp dziennikarzy i czytelników, czczących pamięć dzielnego i ucziwego pracownika.

Tablicę, wykonaną z czarnego marmuru, z brązowym popiersiem zmarłego, zdobi złocony napis:



— Regens seminaryum warszawskiego ks. kanonik Karkowski, podczas restaurowania kościoła po-karmelickiego, na Krakowskim Przedmieściu, odkrył kilka cennych zapomnianych obrazów pędzla *Smuglewicza*.

— W d. 25 z. m. warszawski cech szewski obchodził uroczystość swoich patronów, *S-tych Kryspina i Kryspiniana*. Odbyło się doroczne nabożeństwo, urządzone staraniem zgromadzenia. Z dawnych obrzędów, przywiązanych do tego święta, przechował się tylko zwyczaj palenia „ogni czyściowych“ przy katafalku podczas nabożeństwa, odprowadzającego za dusze zmarłych czeladników szewskich.

— Na miejscu usuniętych, przy zakładaniu na placu Ś-go Aleksandra skweru, *trzech krzyżów* dawniejszych, staną *wkrótce nowe*. Rozpoczęto właśnie roboty około ustawienia postumentów kamiennych.

— *Lekarze warszawscy* uzyskali *kasę zaliczkowo-wkładową*, według projektu d-ra Zawadzkiego.

— Uwzględniając potrzeby szerokich kół inteligencji naszej oraz nawoływania prasy, *biblioteka uniwersytecka* będzie otwierana i w godzinach popołudniowych.

— Grono pań z Towarzystwa kolonij letnich podjęło myśl wydania *dla ubogiej dziatwy* szeregu *książeczek* z rysunkami, treści popularno-naukowej z dziedziny przyrody. Cena książeczek będzie po 3 kop. zeszyt. Myśl zacna, aby jej tylko podolały pióra wybranych przez komitet popularyzatorów wiedzy dla dziatwy.

— W d. 22 z. m. zmarł w Warszawie literat i pedagog, istotny znawca języka ojczystego, *ś. p. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór*. Ur. w r. 1842 w gub. mińskiej, po ukończeniu studiów filologicznych, oddał się zawodowi nauczycielskiemu. Uczył młodzież gimnazjalną w Kielcach, w Częstochowie, w Warszawie i w Płocku, skarbiąc sobie wszędzie miłość swych uczniów. Wyśłużywszy emeryturę, osiadł w Warszawie, gdzie do zgonu prawie, lubo chory obłożnie, brał czynny udział w pracach literackich. Oprócz licznych artykułów i krytyk, rozrzuconych po czasopiśmie, wydał oddzielnie broszurę „O skażeniu języka polskiego w prasie“ oraz prace naukowe: „Eurypides, nieprzyjaciel kobiet“, „Parmenides, filozof z Elei“, „Szuka kochania“, studjum z literatury rzymskiej, „Zagadnienia i kierunki“, „Kilka kwestyj“ i inne.

Pracowitem, zacnem i owocnem życiem zasłużył sobie na pamięć wdzięczną.

— *Anna z Magnuszewskich Wóycicka*, wdowa po zasłużonym pisarzu, Kazimierzu Władysławie Wóycickim a siostra znanego poety Magnuszewskiego, zmarła w Warszawie, przeżywszy lat 87.

— *Bolesław Hirszfeld*, przyrodnik, właściciel instytutu wód mineralnych w ogrodzie Saskim, zmarł w Teriteux w Szwajcaryi, przeżywszy zaledwie lat 40. Odznaczał się wybitnymi zaletami umysłu, charakteru i serca; popierał piśmiennictwo, ubogim udzielał wsparcia hojne, śpieszył wszędzie, gdzie szło o pomoc bliźniemu.

— Dzięki energii i ruchliwości *p. Kazimierza Krzyżanowskiego*, *Łódź* pozyskała drugą *stałą wystawę sztuk pięknych*, otwartą w ubiegłą sobotę. Na wystawę wyróżniają się prace: Żmurki, Klas-Kazanowskiej, R. Szwojnickiego, Kostrzewskiego, Stankiewiczówny, Piątkowskiego, Gersonówny i innych.

— Dyrektorem Łódzkiego Towarzystwa muzycznego został *p. Henryk Meleer*, który zrezygnował z kandydatury swej na dyrektora we Lwowie.

— *Lubelskie Towarzystwo dobroczynności*, rozporządzając funduszami z zapisu *ś. p. Chodorowskiego* i b. sklepu „rolników nadwiślańskich“, stale przychodzi *z pomocą uczącej się młodzieży*. W półroczu bieżącym opłacono z tego źródła wpis za 26 niezamożnych uczniów gimnazjum. Gdy jednak pomoc ta okazała się nie wystarczającą, p.p. *Lucyan Wagner* i *Józef Żelislawski* zajęli się urządzeniem przedstawienia teatralnego, z którego czysty dochód, w kwocie 311 rb., wystarczy na opłatę reszty zaległych wpisów. Na ten cel trupa p. *Marceckiego* odegrała komedję *Bałuckiego* p. t. „*Gesi i gąski*“.

— Nowo pobudowany *dom Towarzystwa dobroczynności w Piotrkowie*, po poświęceniu murów zewnętrznych i wewnątrz, został otwarty i przyciągnął gromadkę biedaków. — „Tydzień“ donosi, że katedra języka polskiego w gimnazjum miejscowem opróżniona jest już przeszło od roku.

— Na dzień dzisiejszy zapowiedziano w *Radomiu przedstawienie* teatralne na *dochód odnowienia starożytnego kościoła w Zawolenu*, w którym spoczywają zwłoki *Jana Kochanowskiego*. Artyści trupy p. *Janowskiego* odegrają sztukę *Zapolskiej* „*Jan Kochanowski*“, w przerwach zaś wystąpi radomskie towarzystwo śpiewacze i orkiestra amatorska. Przedstawienie urządza proboszcz *zwoleński*, ks. *Bąkowski*. Ani wątpić o powodzeniu.

— *Kościół O.O. Reformatorów w Kaliszu odnowiono* gruntownie. — Wskutek starań *p. Alfonsa Parczewskiego*, mecenasa, w Kaliszu urządzona będzie *wystawa archeologiczna*.

— „*Echa płockie i łomżyńskie*“ przynoszą wiadomość o rokowaniach parafian-katolików z gminą ewangelicką celem *odkupienia dawnego kościoła po-pijarskiego w Łomży*, oddanego przed 40 laty ewangelikom. Kościół ten, pobudowany w r. 1754, należał początkowo do O.O. Jezuitów, po usunięciu zaś ich z kraju, w r. 1773, przeszedł na własność O.O. Pija-

rów; od r. 1807 należał do tamecznej parafii katolickiej. Nie mając funduszów na odnowienie kościoła, katolicy odstąpili go przed laty ewangelikom darmo, z warunkiem utrzymania świątyni w porządku. Dziś, gdy na potrzeby katolików nie wystarczają dwa kościoły, farny i po-kapucyński, zawiązały się rokowania o zwrócenie pierwotnym właścicielom kościoła *po-pijarskiego*, który dla nielicznych ewangelików jest za obszerny. Układy znajdują się na dobrej drodze.

— *Rosyjskie Towarzystwo ochrony zdrowia* czyni starania o ustanowienie *prawidłowego dozoru nad stanem zębów młodzieży szkolnej*. Obecnie 95% dziatwy miejskiej w Cesarstwie ma popsute zęby.

— W całym państwie rosyjskiem mają być zakładane po miastach *domy pracy*, aby tym sposobem ukrócić ostatecznie żebractwo.

— *Na wystawie przemysłowo-rolniczej w Płungianach* oglądać można było sporo wyrobów rękodziel rzemieślników i włościan, a nawet znalazł się samouczek-malarz, włościanin *J. Danilkus*, który wystawił kilka, weale udatnych, kopii obrazów i krajobrazów, wykazujących pojęcie rysunku i poczucie kolorytu. Znalazł on, dzięki wystawie, protektora, który pokieruje dalszemi jego krokami. *Cieśla-samouk, J. Langiet*, wystawił pawilon główny. *Kowal Maczuryś* dał piękny krucyfiks, mechanik *Zyliński* wystawił budzik swojej budowy.

Ozdoba wystawy były konie żmudzkie, zwinne i kształtne, nadające się do pług, pod siodło i do zaprzęgu. Na liście nagród znajdują się nazwiska polskie i litewskie, magnatów i włościan pospółtu.

— *Podczas odnawiania kopuły Ś-go Piotra w Krakowie* wykryto w galce złoczonej pod krzyżem na szczycie latarni puszkę, z blachy miedzianej, szczerze zalutowaną. Po zbadaniu jej w archiwum miejskiem znaleziono: medal *Zygmunta III*, zrobiony w r. 1597 na uroczystość założenia kamienia węgielnego pod kościół Ś-go Piotra, zbiór relikwii różnych Świętych z ziemią z Jeruzalem, kilka ładnych i dobrze zachowanych obrazków świętych, część ich jest dziełem sztycharza de Mallery, część *Teodora Galle*, kilka dokumentów na pergaminie. Na jednym z nich jest nazwisko twórcy kopuły: architekta królewskiego *Jana Trewana*. Był to szereg do-tychczas nieznaną. Puskę, po zbadaniu zawartości, złożono na dawnem miejscu.

— W Krakowie rozstał się ze światem *ś. p. Ludwik Michałowski*, wybitny miłośnik sztuki i literatury. Dom jego był ogniskiem, około którego skupiali się krakowscy i przyjezdni uczeni, literaci i artyści.

— *Lwowski uniwersytet ludowy* im. *Adama Mickiewicza* rozpoczął drugi kurs wykładów. Program wykładów, urozmaicałych doświadczeniami, obejmuje działy: przyrodniczo-techniczny, społeczny i humanistyczny.

Tulia tratuje zwłoki swego ojca.

Starsza córka *Serwiusza Tullusa*, szóstego króla rzymskiego, *Tulia*, kobieta bez serca i niesłychanie chciwa władzy, zamordowała swego męża, szwagra zaś swego *Lucyusza Tarkwiniusza*, równie jak ona ambitnego, namówiła do zamordowania żony a jej rodzonej siostry. Następnie pobrali się oboje, zamordowali ojca i objeli rządy, które sprawowali okrutnie. On nazwany został *Tarkwiniuszem Pyszny*; ona, kiedy jechała na rynek, żeby męża obwołać królem, stratowała konimi ciepłe jeszcze zwłoki zamordowanego ojca, leżące na ulicy. Tę chwilę okropną przedstawił *Hildebrand* na swoim obrazie.

Panowanie tych potworów sprzykrzyło się nareszcie ludowi, powstało sprzyżęszenie i *Tarkwiniusz*, zmuszony uciekać z żoną, na wygnaniu żyłot swój zakończył.

POGADANKA.

- 2,204) O której godzinie obiadowano w XII wieku?
2,205) Kiedy został zerwany pierwszy sejm w Polsce?
2,206) Którą wyspę najwięcej zamieszkuje plemion?

Józef Montwiłł.

Ziając w swoim czasie obszerniejszą relację o tegorocznych wystawach wileńskich, ubolewałem bardzo nad tem, że nie mam pod ręką portretów ludzi, którzy nietylko około urządzenia wystawy duże położyli zasługi, ale przede wszystkim w życiu publicznym Wilna zwracają na siebie oczy ogółu. Do takich należą hrabiowie Tyszkiewiczowie, których nazwiska historyczne, wiekami sławne, widnieją na największych sklepach z pieczywem, na znaku fabryki narzędzi rolniczych, na wejściu do fabryki wyrobów żelaznych i t. p.; do takich również zalicza się p. Józef Montwiłł, dyrektor banku, wice prezydent miasta i twórca wielu instytucyj pożytecznych. Nie pora na ocenę działalności tego obywatela wybitnego wtedy, gdy znajduje się w pełni sił i zdrowia, gdy ani na chwilę nie ustaje w pracy; podając jednakże dzisiaj portret, wspomnieć musimy bodaj o dwóch szczegółach z życia szanownego dyrektora.

Jeżeli wystawy malarskie udają się dobrze w Wilnie, otwierając nowe pole zbytu dla artystów, to zasługa niepomnierna p. Montwiłła. On to udzielił bezpłatnie obszernych sal i z całą gotowością śpieszył zawsze z pomocą ruchliwemu organizatorowi wystawy, p. Stefanowi Dąbrowskiemu. Zasługa to jednakże drobna jeszcze w porównaniu z powołaniem do życia kursów rysunkowych dla młodzieży rzemieślniczej oraz szkoły koronkarskiej. Gdzieindziej długich narad, ankiet, komisyj i posiedzeń potrzeba na to, aby instytucje tego rodzaju wprowadzić w życie; w Wilnie zdziałała to silna wola i energia jednego tylko człowieka. Starania o szkołę nie kończą się u p. Montwiłła na samem tylko postawieniu na nogi zakładów, otacza on je dalej opieką i baczną zwraca uwagę na postęp prac uczniowskich.

W przelotnym wykazie prac, jakie zdoła wystawę malarską, zaznaczyłem pełną ruchu rzeźbę, przedstawiającą Podbipiętę, utwór młodego ucznia szkoły rysunkowej Balzukiewicza. Talent to duży i szkoda by go było, gdyby pozbawiony kierownictwa odpowiedniego nie wybił się ponad szarą powsze-

dniość. Jest wszakże nadzieja, że młody Balzukiewicz ukaże się z czasem na szerszej widowni, dzięki znów p. Montwiłłowi, który adeptowi sztuki przeznaczył odpowiednie stypendyum na dalsze kształcenie.



Wizerunek też czcigodnego mecenasa, człowieka, który w swoim kółku czyni, co każe Duch Boży i który innym świeci przykładem, ucząc ich jak myśleć i czuć, uważaliśmy za konieczne podać, jako dopełnienie i echo z opisanych już w numerze 37-mym wystaw wileńskich.

Swoj.

PATRYOTYCZNY ZAPRZĘG ANGIELSKI.



Zebra żyje w Afryce południowej, w posiadłościach angielskich; trudną jest bardzo do oswojenia, Anglicy chcą patryotycznym zaprzęgiem okazać, że ich wola ujarzmi Transwaal, jak ujarzmiła zebre.

BEZ SZTANDARÓW.

TRAGEDYA NAPOLEŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

Zmieszani z sobą, Francuzi i Rosyanie, wijąc się jak węże, przewalali się, tarzali po śniegu, szepceni z sobą, szarpiąc się, jak zwierzęta. Strzelano do siebie, nieomal przypierając lufy do piersi.

Chciałem rzucić się na oficera, który, przy pomocy dwóch żołnierzy, zdołał wydobyć się z pod swego konia i zabierał się do ucieczki przez płot, gdy, znajdujący się odemnie o parę kroków, jeden z rosyjskich szeregowców, wymierzwszy swą strzelbę, wystrzelił do mnie, ale broń spaliła na panewce; gdyby mu strzał był dopisał, byłoby już po mnie. Uczuwszy, że nie stało mi się nic złego, cofnąłem się na kilka kroków od szeregowca, który, pewny, że raniony śmiertelnie, zaczął na nowo spokojnie nabijać swą strzelbę. Znajdujący się obok adyutant Rustan, widząc mnie w niebezpieczeństwie, przypadł do mnie i obejmując, zapytał:

— Jesteś ranny?

— Nie—odpowiedziałem.

— To pał do niego, jak do jasnej świecy!

Nie dawszy mu nawet dokończyć nabijania jego strzelby, wypaliłem i przesyłem go kulą na wyłot. Ugodzony śmiertelnie, nie upadł jednak od razu; odstąpił, pochylił się, mierząc mnie groźnym wzrokiem, nie wypuścił z rąk strzelby, po chwili dopiero powalił się na konia oficerskiego, leżącego pod częstokolem. Adyutant dobil go palaszem.

Zawróciłem do pułkownika, który upadał od znużenia i nie miał sił do wydawania rozkazów. Tymczasem powrócił adyutant Rustan, z okrwawionym po rękójści palaszem, mówiąc, że ledwie się mógł przebić do pułkownika; torując sobie w zgiełku drogę, był ranny pod żebro. Wtem saper, podtrzymujący pułkownika, zachwiał się, ugodzony w pierś kulą.

— Ranny?

— Ranny, pułkowniku.

— Uchodź, na Boga!

Ale saper odpowiedział, że ma jeszcze tyle siły, aby go podtrzymać i umrze razem z nim albo też sam, jak wypadnie.

— Gdzie go podziąć?—zawołał adyutant.—Przebijając się przez ten tłum? Nie wiemy sami, gdzie się znajdujemy, aby dowiedzieć się o tem, trzeba czekać, mordując, świtu.

Tak było istotnie: przy łunie pożaru, w dymie i tym piekielnym zgiełku, straciliśmy zupełną możność oryentowania się. Pułk bił się w kilku a nawet kilkunastu miejscach naraz. Walczono kompaniami, batalionami, dziesiątkami, nawet pojedynczo.

Żołnierze rosyjscy, zamknięci w chacie, zagrożeni spalaniem się żywcem, nie widzieli innego ratunku, jak poddanie się.

Pod gradem kul, zjawiał się u nas jako parlamentarz jeden z ich oficerów. Adyutant posłał mię z rozkazem natychmiastowego zaprzestania ognia.

— Zaprzestać strzelać?—zaśmiał się pewien raniony żołnierz z naszego pułku.—Niech zaprzestaje kto chce, ale nie ja! Umrę za chwilę, ale strzelać będę, dopóki mam choć jeden ładunek!

Ociekając krwią, płynącą mu z rany, siedział na śniegu, nie przestając strzelać; prosił, aby mu inni dawali swe naboje.

Rustan, widząc, że jego ordynans nie znajduje posłuchu, poszedł, w imieniu pułkownika, sam. Ale bijący się rozpaczliwie żołnierze nie chcieli słyszeć żadnego głosu i prowadzili swą robotę do upadłego.

Rosyanie, straciwszy nadzieję ocalenia i nie mając już nabojów, spróbowali środka ostatecznego, wyjścia z natłoczonego budynku, gdzie ogień zaczął już ich przypiekać; żołnierze nasi zmusili ich do cofnięcia się napowrót. Nie mogąc dłużej wytrzymać, jeszcze powtórnie próbowali—zaledwie kilku z nich wyskoczyło, gdy runął cały budynek, w którym zginęło około stu ludzi. Tych, którzy wyskoczyli, nie lepszy był los.

Zaczęliśmy zbierać naszych rannych; a potem z nabita bronią otoczyliśmy pułkownika, czekając na rozświetlenie dnia.

Przez cały ten czas huk wystrzałów karabinowych wojsk, bijących się na innych punktach, nie ustawał, pomieszany z przekleństwami walczących, westchnieniami rannych, jękami umierających...

Okropne te noce bitwy, gdzie tyle przerażających nieporozumień, nie uniknionego popocho, obłądów, rozpaczliwego zezwierzecenia!

Zwolna dogasały pożary.

Nad ranem zapadła nieprzenikniona ciemność.

Dopiero o rozświetle mogliśmy obejrzeć plac bitwy i przekonać się o jej rezultacie...

Otoczające nas pole zalegały trupy i ranni.

Spotkałem zrana kapitana Debonner, mego ziomka, dowódcę kompanii woltżerów, który szedł do nas dowiedzieć się, co się dzieje ze mną. Opowiadał, że zaraz przy pierwszym starciu stracił trzecią część swej kompanii, porucznika i feldfelca.

Wojska rosyjskie opuściły swe poprzednie stanowisko, ale nie cofnęły się, przez cały dzień i noc (16—17) zostając na placu bitwy, my zaś czuwaliliśmy nieustannie. Aby utrzymać nas w tem ciągłym czuwaniu, rozlegała się co chwila komenda; zrywaliśmy się z bronią w rękę, nie mając nawet czasu ogrzać się.

Raz, gdy po takim alarmie, zebrali się w kupkę podoficerowie, rozmawiając o naszych klęskach i przygodach, zbliżył się do nas adyutant pułkowy, Delaire, człowiek zły i powszechnie przez nas nienawidzony. Wdał się z nami w rozmowę, a co dziwniejsza, zale zaczął rozwozić i ubolewać nad śmiercią Beloque'a, naszego kolegi.

— Biedny Beloque!—rzekł—żałuję serdecznie, że się z nim nieraz obchodził zasurów!

A wtem ktoś, nie mogłem nigdy dowiedzieć się kto to był, szepnął mi nad samem uchem, jednak tak głośno, że wszyscy słyszeli:

— On umrze wkrótce!

Delaire czuł widocznie żal za złe, które wyrządził swym podwładnym, a zwłaszcza nam, podoficerom. Nie było żadnego żołnierza w pułku, któryby mu nie życzył, aby go pierwsza kula nie minęła, wszyscy go nazywali „Piotrem okrutnym“.

Ze świtem stanęliśmy pod bronią i wystąpiwszy zwartą kolumną, zajęliśmy pozycję nad drogą od strony przeciwległej terenowi wczorajszej bitwy.

Część armii rosyjskiej mieliśmy przed sobą na wzgórzu, za którym ciągnął się las.

W szyku bojowym stały oba wojska, patrząc sobie oko w oko.

Lewo nasze skrzydło opierało się o wąwóz, do którego byliśmy zwróceni tyłem; ta urwista, o wysokich brzegach, droga, do pewnego stopnia zasłaniała nas i broniła przed ogniem nieprzyjacielskim. Na prawo przednie skrzydło strzelców oddalone było od miasta na wystrzał karabinowy. Na 250—300 kroków przed nami stał pułk młodej gwardyi, 1-szy woltżerów, pod dowództwem pułkownika Luron. Dalej zajmowała miejsce stara gwardya.

Całem wojskiem dowodził sam cesarz. Szedł pieszo, krokiem pewnym, tak samo, jak w dniach wielkich parad; zatrzymał się wśród pola bitwy, naprzeciw bateryi nieprzyjacielskich.

(D. c. u.)

STRZEŻIŁ MIELESZKO.

Humphry Ward.

ZATRUTE DUSZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

W takich chwilach myśl najswobodniej buja wśród przestworów. Młody lekarz długo zastanawiał się nad tajemnicą życia i śmierci, nad stosunkiem człowieka, słabej, ułomnej istoty, do Boga, źródła wszelkiej doskonałości. Wiara, zachwiana na krótko przez wpływ przewrotnych rozmowań, powracała silniejsza i żywsza. Jeżeli wyszedł zwycięzca ze strasznej walki, zawdzięczał to żonie; zdawało mu się, że i teraz słyszy jej głos, widzi dłoń, wyciągniętą ku sobie.

Kiedy zaświtał ranek, dozorczyń przyszyła go zwolnić. Chory miał się znacznie lepiej, patrzył na doktora Elsmere przytomnym wzrokiem, teńjącym wdzięcznością i przywiązaniem.

Robert szedł ku domowi, oddychając z lubością mroźnem, czystem powietrzem. Dzień zapowiadał się piękny, pierwsze promienie słońca zabłyśły właśnie na brunatnych pniach jodeł i sosen, które ciągnęły się w dal, niby majestatyczne, nieskończone kolumnady, napełnione złocistym światłem. Rzeka

szkiliła się lodową powłoką, zamrożnięte pola migotały milionami pereł i brylantów. Na blade lazurowem tle nieba czerniało stado wron, świergotliwe wróble uwijały się koło domów.

Zbliżając się do mostu, Robert spostrzegł jakiegoś mężczyznę, wspartego o poręcz kamienną i poznał dziadka. Bez wahania poszedł prosto ku niemu.

— Jestem rad, że pana spotykam—rzekł, witając go—dziś właśnie miałem być w zamku, aby pomówić z panem o Murewell.

— Zapewniam pana, że nic nie wiedziałem o wybuchu epidemii—wyniosło oświadczył Wendover—dopiero wczoraj Meyrick oznajmił mi o tem.

— Wiem. Jeżeli pan się zgadza, pójdziemy zaraz do wsi.

Dziedzie spojrzał bystro na młodego lekarza, na blade, wyraziste oblicze, na którem myśli i wzruszenia ubiegłej nocy wycisnęły swoje piętno.

— Czy pan szedłeś z domu, czy też wracałeś tam dopiero?

— Spędziłem noc przy chłopcu chorym na tyfus. Dozorczyni nie mogą sobie dać rady.

— A żona pańska?

— Dopóki mieliśmy kilkanaście dzieci chorych na błonicę, moja żona także pielęgnowała je po nocach, ale teraz jest ich tylko czworo, reszta wyzdrowiała lub umarła.

Dziedzie już o nic nie pytał i w milczeniu doszli do wioski. Ruch poranny już się rozpoczął, ze wszystkich kominów unosiły się ku niebu słupy przejrzystego dymu. Robert wskazywał swemu towarzyszowi dziurawe dachy, wykrzywione ściany i zamrożnięte kałuże, nie oszczędzając mu żadnego szczegółu. Wieść o przybyciu pana rozeszła się z szybkością błyskawicy i niebawem z każdej chaty zaczęły się wychylać schorzałe postacie wieśniaków i mizerne buziaki dzieci, przyglądających mu się ciekawie. Wendover zmarszczył się.

Robert zaprowadził go do wnętrza niektórych domów, gdzie oddychało się stęchłem, dusznym powietrzem, które chwytało za gardło. Z kolei weszli do szpitala. W dużej izbie na dole leżało czworo niebożątek, chorych na błonicę; każde okryte było ciepłą flanelową koldrą, przysłaną przez lady Helenę. Jedno z nich zanosilo się właśnie od kaszlu. Robert zapomniał o dziadku i pośpieszył do dzieciny, która męczyla się straszliwie. Atak minął nakoniec, ale biedne małeństwo padło wyczerpane na poduszki, podobniejsze do trupa, niż do żywej istoty. Lekarz nachylił się i pocałował chudą rączkę, zwieszoną bezwładnie.

— Panie doktorze—rzekła życzliwie dozorczyni—dlaczego nie pójdziesz się położyć? Zamęczysz się na śmierć.

— Czy to dziecko będzie żyło?—zapytał pocichu Wendover, wskazując na kaszlące biedactwo.

— Nie—smutnie odrzekł Robert—jest za słabe, aby przetrzymać chorobę; siedmioro już umarło, to będzie ósme.

Dziedzie się wzdrygnął.

— Ależ to straszne!

Lżej odetchnął, kiedy się skończyła ta okropna wędrówka. Nawet kamienne serce tego człowieka zmiękło na widok takiej nędzy i niedoli. Wyciągnął rękę do Roberta, mówiąc:

— Wyrządziłem krzywdę tym ludziom i panu. Żal nie nie pomoże, gdyż zle się już stało, ale na przyszłość będzie inaczej. Co się tycze naszych dalszych stosunków, zależą one od pana; przynajmniej, że słusznie możesz mieć do mnie urazę.

Robert zrozumiał, ile te słowa kosztowały dumnego dziadka i odrazu został rozbrojony.

Ujął podaną rękę i ścisnął ją serdecznie, rzekł z godnością:

— Bądźmy przyjaciółmi; sprawi mi to wielką radość.

Za chwilę Wendover szedł w stronę zamku, a młody lekarz śpieszył do domu. Na progu stała Edyta i, przysłaniając ręką oczy od słońca, wyglądała na drogę. Mąż uścił ją z czułością i jednym tchem opowiedział wszystko.

Słuchała zdumiona, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy smuć. Bliższe stosunki z Wendoverem przejmowały ją trwożą; czy mogło z nich wynikać coś dobrego? Robert ją przekonał, że nawet największy grzesznik może się poprawić.

— Puśćmy przeszłość w niepamięć—mówił z zapałem—kto wie, czy dzięki nam, ten bezbożnik się nie nawróci. Ach! jakież to byłoby tryumf, jakie szczęście.

Rzucił się na fotel i zanim żona zdążyła przynieść mu śniadanie, zasnął mocno. Edyta stanęła przy nim i z rozczuleniem patrzyła na podsińnię oczy i blade oblicze, rozjaśnione zadowoleniem.

IX.

Nazajutrz Robert odebrał list od Wendovera, który przesłał mu znaczną sumę dla rozdania między potrzebujących i zapewniał, że roboty około budowy nowych domów w innym miejscu rozpoczyna się z wiosną. Lekarz poszedł zaraz do zamku podziękować za dar i obietnicę.

Dziedzie przyjął go kwaśno, gdyż nie lubił, aby mu przeszkadzano w pracy. Miał już dość tej sprawy i nie chciał dłużej się nią zajmować; uczynił wszystko, co było w jego mocy, niechże mu teraz dadzą pokój.

Rozmowa z początku szła kulawo, wtem Robert spostrzegł na stole ostatnie tomy „Historii powszechnej” sławnego niemieckiego autora i pochwyił je z radością. Dawno pragnął poznać to dzieło, ale nie mógł się zdobyć na znaczny wydatek.

Wendover od razu się ożywił i niebawem obaj rozprawiali z zapałem o różnych zagadnieniach historycznych. Robert wspominał o swojej pracy i rozwinął przy tem taki zasób wiadomości, wydawał sądy tak trafne, że stary odludek odprowadził gościa aż do bramy parku.

Już od lat wielu niczyja rozmowa nie sprawiła mu takiej przyjemności.

— Ktoby przypuścił, że ten filantrop, ten laskonogi fanatyk posiada tak wybitne zdolności i tak rozległe wykształcenie!—mówił do siebie—jaka szkoda, że dotąd byliśmy w niezgodzie. Trzeba odzyskać czas stracony.

Wendover wybrał całą pakę książek treści filozoficznej i historycznej, aby je przesłać Robertowi, a nazajutrz zjawił się we dworze, ku wielkiemu zakłopotaniu Edyty. Siedział tak długo, że musiano zaprosić go na obiad. Zajadając skromne potrawy, opowiadał o Paryżu i francuzkich uczonych, którym nie szczędził zjadliwych przycinków. Robert był jak na rozżarzonych węglach, gdyż Wendover wspominał kilkakrotnie z zapałem o pisarzach bezbożnych, których nazwiska były obce Edycie; odgadła jednak, że między nimi a dziadkiem zachodzi pokrewieństwo duchowe.

W bibliotece, dokąd panowie udali się na cygaro, gawędka potoczyła się żywiej i swobodnie. Wendover znał wszystkie niemal znakomitości europejskie i kolejno opowiadał o nich. Robert słuchał jak urzeczony, cygaro mu zgasło, ale on nie spostrzegł tego i chwycił chętnie każde słowo dziadka.

Odtąd Wendover nie mógł się obejść bez młodego lekarza. Przekonawszy się, że każda z nim rozmowa była bodźcem dla jego umysłu, zapraszał go często do siebie i odbywał z nim dalekie przechadzki. Robert czuł również, że bardzo wiele zyskuje na obcowaniu z takim mistrzem i coraz więcej lgnął do niego. Mógł sobie pozwolić na tę przyjemność, gdyż w szpitalu stopniowo ubywało chorych i nocne czuwanie stało się zbytecznem.

Edyta trochę cierpiała na tem, że mąż obcemu człowiekowi poświęca wolne od pracy godziny, które niegdyś do niej należały, ale z właściwym sobie rozsądkiem i pokorą uznała, że Robert potrzebuje umysłowej rozrywki i odpowiedniego towarzystwa. Książki nie mogą wystarczyć takiemu jak on człowiekowi, a w sąsiedztwie nikt mu nie dorównywał polemiką i wykształceniem.

Chwilami ogarniał ją niepokój, aby Robert nie zaraził się niedowiarstwem od Wendovera. Robert także zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i zaraz w pierwszych dniach swojej zażyłości z dziadkiem zastrzegł sobie, aby rozmowa nigdy nie toczyła się o kwestyach religijnych.

— Znam z książek pańskie przekonania, ale panu może niewiadomo, że jestem gorliwym chrześcijaninem. Walka z panem na tem polu byłaby nierówna, przerastasz mię bowiem wiedzą i rozumem, lepiej więc nie tykajmy tego przedmiotu.

Wendover uśmiechnął się dziwnie i odrzekł po chwili:

— Zgadnam się na to; niech każdy zostanie przy swoich przekonaniach.

Robert był rad, że zdobył się na odwagę i raz na zawsze uniknął rozpraw religijnych. Postąpił jak dziecko, które wysypiał z piasku, aby powstrzymać napływającą falę.

ZŁE I DOBRE

u Niemców.

Z powodu trudności, jakiej doznaje wiele osób, nie umiając sobie radzić z rozkładem jazdy na kolejach żelaznych, niektóre zakłady naukowe wprowadziły do programu szkolnego, jako dodatek przy wykładzie geografii, zapoznanie się z przewodnikami książkowemi. *

Rząd wydelegował do Islandyi kilku niemieckich lekarzy, przyłączwszy ich do wyprawy duńskiej, mającej na celu zbicie trądu. Nic dziwnego, że nasi sąsiedzi tak żywo się zajmują tą straszną chorobą, gdyż została ona zawleczona już do Prus Wschodnich, gdzie ludność dziesiątkuje. *

Podług świeżo ogłoszonych wykazów statystycznych, pleć słaba posiada przedstawicieli w uniwersytecie berlińskim 188; z tych 18 jest mężatek, 3 wdowy i 167 niezamężnych. *

Co do narodowości stosunek jest następujący: 43 kobiety są stałymi mieszkankami Berlina, oprócz tego jest 64 Niemek, 5 Austriaczek, 37 Rossyjanek, 26 Amerykanek, 7 Angielek, 2 Francuzki, 1 Szwajcarka, 1 Holenderka, 1 Bułgarka i 1 Finlandka. *

Pod względem wyznania: 6 katolicek, 8 greko-wschodniego wyznania, 120 protestantek, 48 żydówek, 3 anglikanki, i 3 bezwyznaniowe, są one Amerykankami. Najstarsza ze studentek ma lat 62, 5—od 50 do 53, najmłodsza, Bułgarka, lat 17. *

Panie te studują wszystkie wykładane przedmioty, jako to: historię, literaturę, historię sztuki, filozofię, filologię, pedagogikę, etykę, psychologię, teologię, ekonomię polityczną, prawo, medycynę, fizykę, chemię, botanikę, zoologię, matematykę, geografję, geologję, teorię muzyki i t. d. *

Co do stanowiska, jakie zajmują rodzice studentek, zarząd uniwersytetu uwiadamia publiczność, że należą one do rodzin 45 kupców, 11—przemysłowców, 8—kapitalistów, 20—agronomów, 8—pastorów, 11—prawników (advokatów lub sędziów), 5—doktorów i aptekarzy, 3—profesorów uniwersytetu, 3—urzędników ministerjum, 9—wojskowych, 1—inspektora lasów, 12—urzędników pocztowych i policyjnych, 1—kapitana statku, 3—inżynierów, 5—literatów, 5—dyrektorów szkół, 9—profesorów kolegium, 1—artysty rzeźbiarza i t. d. *

Podając tyle szczegółów, dotyczących naukowości kobiet niemieckich, zarząd uniwersytetu powinien był jeszcze powiedzieć, jaki procent tych adeptek wyższej oświaty zdobywa sobie byt, odpowiedni swym zdolnościom i wykształceniu. *

Mieszka obecnie w Berlinie 2,092 milionerów (uważani są za takich wszyscy, którzy przy płaceniu podatków wykazali, że dochód ich roczny przewyższa 36,000 marek). Najbogatszy z nich ma 3,000,000 m. dochodu—odpowiada to majątkowi 75,000,000 marek. Drugi z kolei milioner posiada 1,720,000 m. Siedmiu berlińczykom mienie ich daje przeszło milion rocznego dochodu, 1852 mają więcej niż 40,000 marek rocznie. *

Mniejszych majątków przedstawicielami jest 2,623 osób, których roczny dochód waha się między 20,500 i 40,000 marek; 8,035 osób cieszy się rocznym dochodem, przenoszącym 9,000 marek. *

Ogólny dochód ludności berlińskiej jest oznaczony na: 1,206,000,000 marek (731 m. na osobę). Podatek od dochodu, płacony przez mieszkańców Berlina, wynosi 20 milionów marek; podatek od dochodu całych Prus przedstawia 123 miliony. *

Władze niemieckie nie zapominają o Chinach. Zaledwie pierwszy okręt niemiecki wylądował w Kiao-Tcheou, zaraz na dwu następnych wysłano urzędników pocztowych i telegrafistów z przyborami potrzebnymi do urządzania biur w Tsintanfor. Są one już czynne od początku lutego. *

Do tej pory Niemcy byli przeciwni przyjętej ogólnie w Europie deportacyi skazanych, teraz pod tym względem nastąpiła zmiana. Kilka dzienników stara się dowieść, iż koniecznością jest dla Niemiec pozbyć się części ludności. Profesor dr Bruck szeregiem artykułów przekonywa, że nadmierne wzrost ludności w Niemczech może w przyszłości stać się niebezpiecznym dla kraju, więc należy starać się wszelkimi sposobami wysłać skazańców do południowo-zachodniej Afryki, i tam używać ich do budowania nowych dróg. *

Wystąpienia profesora nie przebrzmiały bez echa; od pewnego czasu na południo-zachodzie Afryki, gdzie są najlepsze kolonie niemieckie, osiedla się coraz więcej emigrantów niemieckich. *

W żadnym kraju niema miejscowości, którejby interesa tak korzystnie się przedstawiały, jak w małej wiosce frankońskiej, Klingenbergu (Bawarya). Nietylko mieszkańcy jej nie



STARY PIES BEZ STAREGO PANA.

placą znacznych podatków, ale jeszcze każdy z 300 wyborców otrzymuje 300 marek. Ten dziwny fakt tem się tłumaczy, że gmina jest właścicielką garncań, której dochody podniosły się od czasu wielkiej wojny do 90,000 marek.

MIECZ I DYPLOMACYA.

Boerzy górą.

Bieg spraw politycznych jakby zatrzymał się w miejscu wobec toczącego się pojedynku w Afryce południowej. Ongi Dawid pokonał Goliata; czy się ten fakt obecnie powtórzy, niewiadomo, to jednak nie ulega wątpliwości, że dotąd Boerzy są górą nad Anglikami.

Po wykazaniu fałszów w wiadomościach o rzekomych wielkich zwycięstwach angielskich okazuje się, że pierwszy tydzień wojny oznaczył się ciężkimi niepowodzeniami Anglików. Na widowni wojny w Natalu, gdzie główne siły przeciwników stoja naprzeciw siebie, Anglicy wyparci zostali przez Boerów z troskliwie wybranych i umocnionych stanowisk pod Glencoe i Dundee; a stało się to bez wielkiego rozlewu krwi, głównie dzięki zręcznemu pokierowanym ruchom Boerów.

Anglicy popełnili, zdaje się, ten błąd kardynalny, iż do ostatka byli przekonani, że Boerowie orańscy zachowują się neutralnie, i dlatego głównie umacniali się od granicy transwaalskiej, mianowicie pod Glencoe.

Obecnie następujące fakta nie ulegają wątpliwości: że w Transwaalu znajduje się mnóstwo jenców angielskich; że w ciągu tych kilku dni zginęła tak nieproporcjonalnie wielka liczba oficerów angielskich, iż rząd angielski musiał powołać do służby oficerskiej w armii liniowej oficerów rezerwy, kadetów, ochotników i t. p.; że wreszcie komenderujący w Glencoe generał Yule, nie zdoławszy nawet zabrać rannych ze sobą, opuścił swoje stanowisko i gwałtownie marszami, po najgorszych drogach, zdołał się dobić do Ladysmithu.

W tej chwili umocnione pozycje pod Glencoe zajmują Boerzy; w ich rękach znajduje się większa połowa linii kolejowej z Glencoe do Ladysmithu, a utarczki na południe Ladysmithu, więc na angielskiej linii odwrotu do Pietermaritzburga, dowodzą, że i orańscy Boerowie nie zasypiają gruszek w popiele. Pierścien boerski, okalający ze wszech stron Anglików, zacieśnia się coraz bardziej; wobec przemagających sił Boerów generał White nie zdoła się prawdopodobnie utrzymać na swoich stanowiskach do przybycia zdążających morzem posilków.

Nie lepiej wiedzie się Anglikom na zachodnim teatrze wojennym. Mafeking, który wskutek przerwania przez Boerów wszelkiej komunikacji z Kapsztadem, znikąd nie może się spodziewać odsieczy, lada dzień poddać się musi. Dwukrotnie rozchodzili się już wieści o jego upadku, ale okazały się przedwczesnymi. W podobnym położeniu znajduje się Kimberley, któremu już żywności brakować zaczyna.

Posilki, a raczej główna siła angielska, przeznaczona na ujarznienie Boerów, stanie już teraz w Kaplandzie najdalej za cztery tygodnie, jeżeli w drodze nie spotkają jej jakie nieprzewidziane wypadki, o które na morzu nie trudno. I w takim jednak razie, wskutek popsucia kolei kaplandzkich przez Boerów, upłynie jaki tydzień co najmniej, zanim wojska te zdołają stanąć na linii bojowej, notabene, jeżeli transporta mułów, zakupionych przez Anglików we wszystkich niemal częściach świata, staną szczęśliwie i na czas w Kapsztadzie. Tak więc Boerzy, w najgorszym razie, mają jeszcze przed sobą co najmniej pięć tygodni swobodnego czasu, z którego zapewne jak dotąd energicznie i zręcznie skorzystać nie omisszkają.

Tymczasem po nad Anglią zbierają się niewyraźne jeszcze ale w każdym razie groźne chmury interwencyjne. Że je w samej Anglii uważają za groźne, najlepszy dowód w tem, że rząd angielski powołuje pod broń nie tylko milicję ale i rezerwy milicji, a jednocześnie wprawia w ruch olbrzymi aparat uruchomienia całej floty, aby być gotowym na wszelki wypadek: czy to na morzu Śródziemnym, czy na morzach Perskiem i Indyjskiem, czy wreszcie na wodach wschodnioazjatyckich.

Wybór delegacji wspólnej. Pomimo gwałtownej opozycji lewicy niemieckiej, rada państwa austriacka dokonała wyborów do delegacji wspólnej. Z posłów galicyjskich wybrani zostali:

Eugeniusz Abrahamowicz, August Sokołowski, Wojc. hr. Dzieuduszycki, Jaworski, Popowski, Jędrzejowicz i Ochrymowicz (Rusin). Na zastępców książę Sapieha i d-r Roszkowski.

Demonstracye. W Czechach, z powodu zniesienia rozporządzeń językowych, trwają ciągle demonstracye, podczas których zbył pohopna do strzelania żandarmerya już kilku ludzi zabiła. Młodocześni zwolują wiec burmistrzów czeskich, aby na wypadek potrzeby zorganizować opór gmin przeciw placeniu podatków, dostarczaniu rekruta i spełnianiu innych obowiązków względem państwa.

Z placu boju. Ostatnie wiadomości z pod Ladysmithu donoszą, że Boerzy dokola miasta sypią potężne szanice i ustawiają na nich działa. Siły ich na tym punkcie obliczają na 18,000 ludzi. Z Ladysmithu widać główną kwatery Jouberta.

Przygotowania angielskie. Z Sheffieldu donoszą, iż tamtejsze warsztaty wojskowe pracują dniem i nocą nad przygotowaniem materjału wojennego, mianowicie kul i amunicji dla artylerji.

Ironiczna kondolencya. Sultan, jakby przez ironię, przesłał rządowi angielskiemu kondolencyę z powodu klęski pod Glencoe, przyczem wyraził żal, że im z pomocą do Transwaalu pośpieszyć nie może.

Kradzież dokumentów. Rzymska „Italię“, mimo zaprzeczeń urzędowych, utrzymuje, iż prawdziwem było jej doniesienie o kradzieży dokumentów z archiwum sztabu generalnego.

HERBARZ SZLACHETNYCH.

„Dziennik dla wszystkich“ pomieścił wiadomość o „czynnie ludzkości“, który ma prawo do Herbarza szlachełnych.

Do jednego z większych składów win zgłosił się przed kilkoma miesiącami pracownik, poszukujący zajęcia. Ponieważ świadełta miał dobre, przedstawiał się przyzwyczajony, przyjęło go więc, „jako kawalera“, z pensją 20 rb. na miesiąc, przy całodziennem utrzymaniu i mieszkaniu. Nowy pracownik sprawował się wzorowo, był jednak ciągle smutny i zamysłony, co dawało wciąż do myślenia pracodawcy, który postanowił dojść tajemnicy. Okazało się, że pracownik był żonatym i dziecinym, wymykał się zaś do rodziny podczas „wychodni“.

Odkrywszy tajemnicę smutku swego pracownika, pryncypał zapytał go wręcz o przyczynę tajemnicy i ze swym stanem.

— Musiałem tać się z tem, ponieważ żaden ze składów winnych i kolonialnych słysząc nie chce o przyjmowaniu pracownika żonatego i dzietnego.

Cóż czyni pracodawca po tem odkryciu?

Oto rozszerza swój interes i oddaje go pod zarząd pracownika, naturalnie przy wyższem uposażeniu. Tym sposobem przerywa rozłąkę męża i ojca od żony i dzieci.

Fakt na dzisiejsze czasy wydalby się nam nieprawdopodobnym, gdybyśmy nie znali oświście i pracodawcy, i pracownika.

Na dotkniętych klęskami powodzi i gradobicia we wsi Łęg, parafii połańckiej: Anulka, Jania i Józik Balińscy z Wierzbowa, rb. 5, M. Drozdowicz, Dunajecze, rb. 1, Dolegowski, w szóstą rocznicę zgonu syna, Alfreda, rb. 1 kop. 20, M. S., z Jekaterynosławia, rb. 1, Kazimierz Gieysztor, z Petersburga, rb. 2.

Na najbiedniejszych: Anulka, Jania i Józik Balińscy z Wierzbowa, rb. 5.

Na nędzę wyjątkową: Jadwiga Ulińska, Kwiryly, rb. 1.

Na Sanatorium dla suchotników: X. X. rb. 1.

Na Połańcan: X., w dniu imienin babuni, kop. 50.

Na stacye Męki Pańskiej w Częstochowie: Jan Walentynowicz, z Wyksy, rb. 3.

Na kościół w Suwałkach: Kazimierz Gieysztor z Petersburga, rb. 1.

Na kościół Świętokrzyski, na Łysej Górze: M. S., z Jekaterynosławia, rb. 1.

POGADANKA.

2204) W XV wieku nawet monarchowie obiadowali o ósmej rano, jedli wieceznie o czwartej popołudniu, a szli spać o szóstej. Dopiero w ostatnich latach panowania Ludwika XII król, chcąc się przypodobać drugiej żonie, Marvi księżniczce angielskiej, przeniósł obiad na dwunastą, wieceznie na siódma, a dawał hasło do spoczynku o północy dopiero. Sarkano jednak na to i następcą Ludwika, Franciszek I, jadał obiad o dziewiątej, wieceznie o piątej, a szedł do łózka o dziewiątej. Za Henryka IV i Ludwika XIV, jednego z największych żarłoków w świecie, obiad dawano o jedenastej. W XVIII wieku druga godzina była porą obiadową, później czwarta, Napoleon obiadował zwykle o szóstej, obecnie zaś Paryż i Londyn obiadują o ósmej. O której godzinie świat będzie obiadował w XX wieku?

2.205) W styczniu roku 1652, w pierwszych latach panowania Jana Kazimierza, zebrał się w Warszawie sejm, który miał potwierdzić ugodę biłocerkiewską, zawartą we wrześniu z Chmielnikiem, i obmyśleć środki wojenne do jej przeprowadzenia. Tymczasem Władysław Siński, poseł i stolnik upiłek, podmówiony przez Krzysztofa Opalińskiego i Radziwiłłów, obrażonych na dwór, po raz pierwszy skorzystał z prawa *velo*, przysługującego szlachcie i zerwawszy sejm, wyjechał z Warszawy. Tym nieczym czynem ściągnął na siebie klątwę narodu i wyrzuty sumienia; nie pochowane jego zwłoki długo się poniewierały, aż wreszcie pogrzebano je w Upięciu, na Żmudzi, w r. 1860.

2.206) Ludność Sumatry, jednej z największych wysp na oceanie Indyjskim, jest nadzwyczaj różnorodną, składa się bowiem z Malajczyków, Klingów, Batlaków, Chińczyków, Dyaków, Papuasów, Indusów, Murzynów, oraz innych plemion. Są tam osady holenderskie, niemieckie, angielskie i hiszpańskie. Wyspy Jawa, Ceylon i Singapore są nader gęsto zaludnione; na przykład na Jawie, przypada przeciętnie 657, a nawet w prowincji Bagelen 964 mieszkańców na milę kwadratową, kiedy w Belgii, najludniejszym kraju europejskim, jest ich tylko 530 na tej samej przestrzeni.

NARADY POUFNE.

„Jeńcimy się, skupiamy, solidaryzujemy z sobą!”—wola p. Antonina Prus z Dąbia w liście do nas. Stawiamy przedziły między sobą, które więcej aniżeli mur chiński odgradzają jednych ziemian od drugich. Posiadacz wielkich obszarów nie porozumie się z rolnikiem na kilkunastu włókach, choćby ten był inteligentny i zacnym człowiekiem, choćby dzieci jego otrzymały staranne wychowanie i wykształcenie. Z jednej strony pycha, z drugiej fałszywa ambicja rozdziela tych ludzi. W miasteczku prowincjonalnym osobnik, mający pretensję do inteligencji, całą swą wyższość zasadza na sumie swoich dochodów, a mając powóz i własne konie, patrzy z góry na uwijających się po ulicach pieszo.

Prasa podnosi ciągle głos, nawołując do zawiązywania kółek rolniczych, przemysłowych, w niektórych guberniach uwidoczni się już jaki taki postęp na tem polu, ale w gubernii kaliskiej głuchą. Zapewne przyczyną tego jest, w pewnej mierze, brak kolei, komunikacya utrudniona. Wogóle brak solidarności, chodzimy pojedynką, zacieśniamy horyzont własnego ogniska domowego.

Ubiór ludowy—pisze do nas p. Kazimierz Gieysztor—znika nie tylko z okolic Dąbia, lecz i w innych okolicach kraju. Nie mówię o wielu względach, samo poczucie piękna wiele na tem traci. Włóścian nie czują tego, jak ich nowy strój razi oko, a nawet szpeci. Nie posiadając gustu, ubierają się obecnie tak, że przypominają przysłowie: „przypiął kwiatek do kożucha”. Nierzadko słyszę się dają narzekania ludzi niezamożnych na to, że dzieci tak niszczą ubranie, iż im nastarczyć nie można nowych sukien. P. G. przemawia za używaniem na cel powyższy płócienek włóściańskich, jako nader trwałych. Zdarzają się wyroby gustowne; zresztą, gdy wzrośnie zapotrzebowanie, to i wzory będą lepsze, zastosowane do wymagań publiczności. Panie miejskie mogłyby używać do swego stroju koronek wyrobu włóściańskiego, a w domu najmniej zamożnym powinien być dywanik samodziślowy. Płótno, tkane w chatach wieśniaczych przydałoby się również, jeżeli nie dla starszych osób, przywykłych do wygod, zniewieściących z wiekiem, to na bieliznę dla dzieci. Koszule z grubego płótna hartują ciału. Niech, według słów „Lowczego”, złoży się praca zbiorowa: chata, dwór i plebania, niech ją poprze prasa, a z łatwością powstaną zakłady komisowe celem sprzedaży wyrobów włóściańskich. Ułatwiony zbyt zachęci do pracy, polepszy byt kmieci. Składy takie mogłyby powstać przy domach zleceń, syndykatach Towarzystw rolniczych.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! powinniśmy mówić pierwsi przy spotkaniu z włóścianami. Na zdanie nasze w tej mierze pisze się w zupełności korespondent Biesiady p. K. G., dodając, żeśmy w rozmowie z włóścianami powinni mówić do nich: „bracie”. Forma taka nie będzie fałszem: niegdyś mówiono „panie bracie” tylko szlachcie; obecnie bratem jest każdy współmieszkanin, sąsiad, nie mówiąc już o najważniejszym braterstwie—w Chrystusie.

REBUS.



Rebus w n-rze 42: Ręka Opatrzności na wielkich rachunkach ludzi kreśli wielkie zera.

PLON LITERACKI.

Ostatnie pięćdziesięciolecie. Pod tym tytułem wydano podniosłą, przenikniętą duchem wiary przemowę księdza profesora Antoniego Szlagowskiego, na rozpoczęcie roku szkolnego w Seminarjum warszawskim, z powodu jubileuszu 50-lecia kapłaństwa J. E. ks. arcybiskupa Popiela. Nakład „Kroniki Rodzinnej”.

W szeregu kalendarzyków, zwanych przez wydawców humorystycznymi, poczesne miejsce od lat dwunastu zajmuje **Facet**, przynoszący zazwyczaj spore zasoby istotnego humoru i ciekawej satyry, przyczem jeden i druga nie wykluczają przyzwoitości. I 13-ty rocznik kalendarzyka, wydawanego obecnie przez „Francesca”, nie czyni ujmy wyrobionej opinii. Przytaczamy jeden z dowcipów „Faceta”.

Dwaj znawcy stoją przed olbrzymim płótnem na wystawie, mającym na ramie napis „100,000 rb.”

— Płótno, co prawda duże, ale za taki zwyczajny pejzaż tyle pieniędzy...

— W jednym kawale to rzeczywiście wydaje się zadrogo, ale można by ten obraz rozparcelować.

Ognisko domowe, popularny kalendarz księgarni Dubowskiego, ilustrowany, na rok jubileuszowy Ojca Świętego, 1900, z portretem Leona XIII na okładce, odznacza się doborem treści i tanią ceną: 15 kop.

Wielki Polski salonowy kalendarz humorystyczny na rok 1900, wydawany pod redakcją Wacława Gąsiorowskiego, odznacza się obfitością rysunków i tekstu, przeważnie dowcipnego. Malarze: Piątkowski i Owidzi, zdolny rysownik Nawojewski, humorysta i poeta: „Or-ot”, K. Laskowski „Krogulec”, J. Jankowski, „Francesco”, „Bruno Las” i inni, wespół z redaktorem Gąsiorowskim, stanęli do ołdrynku, rozwesalającego i zajmującego czytelników. W obszernym albumie znalazły się nawet prace pośmiertne: Kajetana Kraszewskiego i Józefa Wasniewskiego. Niedociepna i po częstochowsku napisana „Przygoda z Frenklem” dostała się tu zapewne wypadkowo.

Jako wydawnictwa „Niwy Polskiej” ukazały się na półkach księgarskich przekłady dzieł: Edmunda Demolins **Polega wychowania**, czyli **Wyzósć rasy Anglo-saksońskiej** i H. Rider Hardgard **Ona**.

„Biblioteka dzieł wyborowych” pocięła się Sewera p. t. **Wśród pokus** i pracę A. Seidla p. t. **Transwaal i Boerowie**. Przekładu w skróceniu dokonał p. W. Trampczyński, przedmową napisał J. Ochowicz.

W dodatku do „Gazety Polskiej” wyszedł **Wybór nowel** Wiktora Gemulickiego.

Encyklopedia

wynalazków, odkryć, zastosowań praktycznych, nadzwyczajności.

Podróż naokoło świata dziś i temu lat czterysta. Kilka wieków temu, podróż naokoło świata była przedsięwzięciem, połączonym z tysiącami trudów i niebezpieczeństw; dziś jest to łatwa i przyjemna wycieczka, której można dokonać parowcem i koleją w przeciągu 74, a nawet 65 dni, za umiarkowaną opłatą 3,100 franków, przesłanych do zarządu *Canadian Pacific Railway Company* (C. P. R.).

Kiedy dnia 20 września 1519 roku Magellan puścił się pierwszy w podróż ku nieznanym stepom, rozporządzał flotyllą, złożoną z pięciu statków, które razem miały objętości 500 beczek; jeden zaś parowiec pocztowy C. P. R. ma 13,000 beczek. Załoga ich składała się z 260 ludzi, były zaś w stanie jaknajgorszym.

Magellan nigdy już nie ujrzał ziemi, rodzinnej, poległ bowiem w utarcze z mieszkańcami wyspy Matan na oceanie Spokojnym. Cztery statki się rozbiły, 243 ludzi zmarło lub zatono.

Przypuścimy teraz, że jeden z naszych czytelników pragnie na schyłku XIX wieku objechać całą kulę ziemską. W tym celu udaje się do Londynu i kupiwszy bilet, wsiada w Liverpoolu na jeden z olbrzymich parowców linii kanadyjskiej, urządzonych z możliwą wygodą i zbytkiem. W siedm dni później, przybywa do Kwebeku i rzeką Ś-gó Wawrzyńca dojeżdża do Montréal. Tam czekają na niego pyszne wagony C. P. R., któremi w ciągu pięciu dni przebiegnie wszęć całą Amerykę północną aż do Vancouver. Budowa tej drogi stanowi istny tryumf sztuki inżynierskiej; Anglicy słusznie są z niej dumni. Z okna wagonu, podobnego do ruchomego pałacu, podróżny może widzieć Ottawę, jezioro Wyższe, jezioro Winnipeg, Manitobę, góry, puszcze i stepy kanadyjskie, niezmierzone przestwory oceanu Spokojnego.

W Vancouver pociąg staje na wybrzeżu portowem, gdzie czeka już jeden ze wspaniałych parowców towarzystwa C. P. R., gotowy do drogi. Pomalowany na biało, pruje błękitne tonie morskie z szybkością 17 węzłów na godzinę. Objętość jego wynosi 7,500 beczek, szruby są podwójne, maszyny mają siłę 10,000 koni parowych, długość dochodzi do 135 metrów. Do budowy głównie użyto stali. Co się tyczy urządzenia wewnętrznego, może ono zadowolić największego wybredniarza; oświetlenie jest elektryczne, kuchnia wyborna, służbę pełnią młodzi Chińczycy, ubrani białą. Sale i kajuty są ogrzewane parą; ogromne wachlarze, zwane *pankas*, poruszane za pomocą elektryczności, chłodzą powietrze.

Prawdziwa rozkosz przebyć na tych parowcach przestrzeń, dzielącą Vancouver od Yokohamy, (dziesięć dni drogi), stamtąd w trzy dni jest się w Szangai, a w siedm w Hong-Kong, gdzie trzeba się przesiąść na inny parowiec, którym przez Singapore, Colombo, Aden i Suez wraca się do Londynu.

Ogółem cała podróż trwa 74 dni, co jest nader mało, zważywszy, że trzeba przejechać 21,273 mil morskich. (Mila morska odpowiada 1852 metrom).

Możnaby jeszcze skrócić ten czas o dziewięć dni, gdyby wysiadło się w Brindisi i stamtąd koleją przyjechało się do Londynu przez Paryż i cieśninę Pas de Calais.

Jeżeli który z czytelników, zachęcany tym opisem, uda się w podróż naokoło świata *à la Verne*, prosimy o szczegółowe sprawozdanie *à la Jakob Arago*.

Proch bezdymny. Potęgą nowych materiałów wybuchowych przechodzi wszystko, co dotąd wynaleziono na tem polu. Tajemnica wyrobu niektórych jest pilnie strzeżona przez władze wojskowe; wiadomo tylko, w jaki sposób otrzymuje się proch bezdymny, który wyruguje z czasem zupełnie dawny proch czarny, będący mieszaniną węgla, siarki i saletry. Był on bardzo nietrwały, tracił swoje własności w wodzie, zanieczyszczał broń i tworzył mnóstwo dymu.

W r. 1884 inżynier francuzki Vieille wpadł na myśl użytkowania siły wybuchowej bawełny strzelniczej i jemu należy się istotnie zaszczyt tego wynalazku, który przyczyni się w przyszłych wojnach do zwiększenia liczby poległych. Do wyrabiania prochu służą odpadki bawełny, które, po starannem oczyszczeniu i wysuszeniu w piecach, mogą się w mieszaninie kwasu saletranego i siarczanego. Następnie bawełna dostaje się do machin, gdzie zostaje zamieniona w papkę, potem ugniata się z eterem siarczanym lub octanem etylowym. Wyciągnięta na machinach, przybiera kształt arkuszy i dostaje się pod noże, które tną bawełnę na mniejsze lub większe kawałki, od 1 do 3 milimetrów, stosownie do tego, czy zostanie użyta do armat, czy do karabinów. Po ostatecznem wysuszeniu, proch bezdymny daje się doskonale przechowywać, może bezkarnie być zamoczony i wytrzymuje bez szkody upały zwrotnikowe. Wyrób nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa.

Para małżeńska Goliatów. Pomiedzy ciekawymi zwyczajami ludowemi, przechowywanemi przez mieszkańców północnej Francji i Belgii, zasługuje na uwagę ceremonia zaślubin państwa Goliatów, odbywająca się co roku w wigilię święta gminnego w Ath.



Co roku w wigilię jarmarku, obchodzonego w czwartą niedzielę sierpnia, państwa Goliatów, przybranych najstrojniej, odprowadza tłum ludności do kościoła Ś-go Juliana. Towarzyszą im dźwięki orkiestry oraz bicie dzwonów.

Urzednicy wyżsi miasta, oraz osoby należące do orszaku, wchodzą do wnętrza świątyni, ale państwo Goliatowie, nie będąc w stanie, z powodu nadzwyczajnego wzrostu, przedostać się przez bramę, wyczekują na ulicy. Na progu świątyni ukazuje się duchowieństwo, udzielające, wśród dymu kadzideł, błogosławieństwa dorodnej parze. Państwo Goliatowie są połączeni węzłem małżeńskim do przyszłego roku.

Wśród brzmienia fanfar i wiatów, małżonkowie odbywają spacer po ulicach miasta.

Nakoniec ceremonia dobiega do końca. Powracających do domów mieszkańców oczekuje przysmak w postaci gorącego i pachnącego ciasta Gohat.

Zwyczaj ten jest objawem czci, okazywanej od wieków ludziom wyjątkowo wybujałym pod względem fizycznym, olbrzymom siły cielesnej.

„Biesiada Literacka” z „Wieczorami Powieściowemi”

w Warszawie: rocznie rs. 6 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 63.

Z przesyłką pocztową: rocznie rs. 8; kwartalnie rs. 2.

Zagranicę: we Lwowie i Krakowie kwartalnie fl. 2.90; na prowincyi fl. 3.45.

„ w Poznaniu kwartalnie marek 4; na prowincyi marek 4.75.

W innych państwach związku pocztowego prenumerata w rublach lub według kursu bieżącego.

Agencye główne na Galicyę: Księgarnia Gubrynowicza i Schmita we Lwowie; Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

Agencya główna na W. K. Poznańskie: Księgarnia Polska Wiktora Tempłowicza w Poznaniu—Hotel Francuzki.

Cena numeru pojedynczego Biesiady kop. 15. Wieczorów Powieściowych kop. 5. Zmiana drukowanego adresu kop. 20.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26. Ze zbiorów

Na listach i przesyłkach trzeba wypisywać dokładnie cały adres „Biesiada Literacka”. Za rękopisy nadesłane redakcja nie odpowiada.

Redaktor i wydawca **Władysław Maleszewski.**

Szczepana Kalinowskiego

HUMOR I SATYRA.



Nagroda szkolna.

W Austrii, z powodu podwyższenia podatku od cukru, produkt ten stał się niedostępnym dla ludzi niezamożnych. To dało powód do ustanowienia w szkołach ludowych nagrody cukrowej; najlepszy uczeń lub uczennica ma prawo przez godzinę liżać głowę cukru, przechowywaną w bibliotece szkolnej.

— Posłuchaj tylko, jak on jest mi wierny; oto jego list: „Przyśięgam ci na wszystko, że jesteś moją jedyną Filomeną”.

Przyjaciółka: — Nie kocha innej Filomeny, bo to imię należy do rzadkości.

— Kto to przejechał na bicyklu?

— Nie mogę poznać: czy to moja córka, czy mój syn?

Nauczyciel: — Jak już mówiłem—kolo nie ma końca.

Jaś: — A talerz?

Nauczyciel: — Także nie ma, bo jest okrągły.

Jaś: — To niech pan talerz stłucze, a będzie koniec.

XXXXXXXXXXXX NADESŁANE XXXXXXXXXXXXXXX

WINO SZAMPAŃSKIE
REIMS
PETERSBURG

DOYEN et -Cie.

Dostać można
we wszystkich pierwszo-
rzędnych handlach win
i restauracjach.

DENTYSTA H. LIBKIND-LUBODZIECKI, Żórawia 16, m. 12, róg Kruczej.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH
Marszałkowska 136, róg Ś-to Krzyżkiej, 1-sze piętro.

Lekarz-Dentysta. G. KLISTER. Aleja Jerozolimska nr. 21.

PISMA ALBERTA WILCZYŃSKIEGO

ZBIOROWE WYDAWNICTWO TOMÓW DWADZIEŚCIA

Całość rb. 9.—Tom pojedynczy kop. 60.

Przesyłka pocztowa stosownie do odległości.

Nabywać można w Administracji Biesiady Literackiej

Warszawa, Chmielna 26.